ZAWÓD.

Powierzchnię jeziora czystą
Promień zachodni pozłaca,
A przez puszczę gęstą, mglistą
Rybak do domu powraca.

W jego oczach blask ponury,
Wstrzymuje się, to podbiega.
Jakiż niepokój go pali?
I nie dziw, że cierpi skrycie;



Próżny kosz ma na ramieniu,
Nie patrzy na wdzięk przyrody,
Lecz posuwa się w milczeniu;
Jak widmo, nad brzegiem wody.
Patrzy na ziemię, to w chmury,
Chatę swą w dali spostrzega;

Ach! bo od dziwactwa fali
Zależy rodziny życie!
Próżny kosz, połów chybiony
W chacie nędza, los okrutny,
O życie dzieci i żony
Drży wracając rybak smutny!

W. z Kleczkowskich Nerlich.

KILKA KARTEK Z RODZINNÉJ KRONIKI,

przez Karolinę Świetlą (z czeskiego).

Za panowania sławnéj pamięci cesarza Józefa II w Czes. B. przy samym gościńcu, stała mała gospoda, która przy budowaniu dworca kolei żelaznéj, piękniejszemu, regularniejszemu, ale za

to mniéj zajmującemu budynkowi ustąpić musiała.

Ta gospoda należała do mego pradziadka i była chlubą całéj rodziny.

Do dziś dnia opowiadamy o niéj ze łzami w oczach, jak o straconym raju, a ktoby nas słyszał, mógłby snadno mniemać, że nad nią nie było rozkoszniejszego miejsca na świecie. Ale oczy obojętne, dla których nie była otoczoną owym czarownym blaskiem, w jakim dom rodzinny ukazuje się sercom tkliwym, odwróciłyby się pewnie z pogardą lub szyderstwem od niepoczesnego, niesymetrycznego i wiecznie błotem zbryzganego domku, coby im, prawdę mówiąc, nie można bardzo brać za złe.

Stary budynek był jednopiętrowy i prawy bok jego był tak wypukły, że się zdawało, jakby go jaki niewidzialny olbrzym bezustannie nadymał. Część jego lewa była wprawdzie równiejszą, ale nie miała ani jednego okna; snać w nagrodę za ten brak, znajdowały się w najdalszym jéj końcu, właśnie jakby z domu umknąć chciały—wrota. Trochę zwinny człowieczek mógł przez nie przeskoczyć przez igraszkę, ale nawet tego wysilenia nie potrzebował ten, kto się chciał dostać do domu; niech tylko skurczył się nieco, a przelazł pod niemi. Wjazd tak wyżłobiony, podobny był raczéj do rowu, w którym człowiek mógłby się zimą i latem utopić w błocie. Widać, że stróż przyszedł do przeświadczenia, że w takich okolicznościach wszelkie zamykanie jest daremném, i dla tego wrota były najczęściéj dniem i nocą w każdéj porze roku otwarte, co im nadawało jakieś przyjemne gościnności piętno.

Wewnątrz domek nie był porządniejszym; na niebrukowaném podwórzu wznosiło się śmiecisko wysokie jak wieża, a obok czerniła się kałuża rozległa jak jezioro. W tyle, kilka na pół zbutwiałych schodów prowadziło do ogródka, jeśli na to imię zasługiwał trawnik przegniłym otoczony płotem i kilka bzowych i laskowych krzaków.

Wszystko wewnątrz i zewnątrz domku było opuszczone i zaniedbane. Drzwi i okna nie zamykały się, w podłogach były dziury wielkie jak moja głowa, pułapy groziły upadkiem, każdemu nowoczesnemu gospodarzowi włosyby powstały ze zgrozy nad całém tém niedbalstwem, w którém lubowali się zapewne wszyscy nasi ojcowie z małemi wyjątkami. Ale bądź co bądź, w téj ruinie była jakaś szczególniejsza poezja; z niéj wiał taki świéży powiew wolności, że artysta musiał w jednéj chwili zakochać się w starym domku, a potomstwo mego pradziadka powiększéj części należało, niestety! do téj nieszczęśliwéj klassy, przed którą każdy rozsądny człowiek się żegna. I dla tego tak cię oni kochali, stary, miły dachu!

Co rok za kominem, na goncianéj strzesze osiedlał się poważny bocian; pod rynną, z któréj zbutwiałego. zielonego drzewa, wyrastały ładniutkie zioła, czepiało się jaskółcze gniazdo obok gniazda; na kałuży goniły się stada kaczek o szmaragdowych szyjach i skrzydłach; na palach gruchały gromady gołębi wszelkich kolorów, a po śmiecisku przechadzały się najsrokatsze koguty i kury czeskiego gatunku. Pradziadek innych nie znosił; sąsiedzi mogli sobie nasadzać tyrolskie, styryjskie, angielskie i inne jeszcze rzadsze kurczęta, on został przy krajowych; nic obcego nie mogło być w domu.

Prababka miała z nim krzyż Pański! nawet w doniczkach za oknami nie mógł mu się cudzoziemski kwiat pokazać, a ona tak lubiła bawić się ogrodnictwem. Tylko róże, tulipany, goździki i fijołki, które miał za czysto czeskie kwiaty, albowiem mógł je nazwać po czesku, znalazły łaskę u niego. Wszystkie inne wyrywał, jak tylko je żona posadziła, choćby nawet drogo za płonki lub nasionka zapłaciła olejkarzowi, który dwa razy do roku zaopatrywał ją w korzenie i domowe leki. Ale cóż robić; pradziadek już się nie zmienił: co choć trochę cudzoziemczyzną pachniało, to miał w obrzydzeniu i z tego śmiał się bez miłosierdzia; u innych ludzi, jak mówią, ma się znowu dziać zupełnie przeciwnie.

Pan ojciec (tak mówiono pradziadkowi w całém miasteczku) miał zawsze pełno gości; ludzie wtedy niedbali jeszcze o piękne ściany, byle tylko mieli coś smacznego przed sobą na talerzu. O pani mamie głoszono daleko, jako o wybornéj kucharce; nazywano ją sosową panią, dla tego, że nikt ani tak wybornych, ani tak rozlicznych sosów jak ona, robić nie umiał, a sosy, jak wiadomo, są jednym z najfundamentalniejszych czynników w szlachetnéj sztuce kucharskiéj.

Ale nietylko sąsiedzi ale i panowie nawiedzali pana ojca, i przychodzili często do niepozornéj gospody na miskę grochu, albo na świéżą kiełbaskę, Ale z tego honoru nasz pan ojciec mało sobie robił; niesprzyjał panom i nigdy im się nie kłaniał. Mawiał, że w każdym z nich siedzi dziesięciu czartów, którzy im nie pozwalają robić dobrze. Bo gdyby nie to, mówił, całkiem inaczéj byłoby na tym świecie, ludzie nie musieliby ani żebrać, ani kraść, a każdyby miał, czegoby potrzebował. Kogo to zdanie obraża, niech sobie pomyśli: prosta kapota, prosty rozum.

Małżonkowie byli dobremi gospodarzami; nic więc dziwnego, że się im garnął pieniądz do malowanych skrzyń w komorze, tak, że dziewczyny ruszyć ich nie mogły, ilekroć przed odpustem uprzątały i porządkowały. Ale przez wiele lat płakała pani mama za każdą razą, gdy swoje zapasy przeglądała; myślała sobie, że dla cudzych ludzi gospodarzy. Dziesięćkroć razy zastukał bocian do małego, czarną chustką zasłoniętego okienka w pokoiku obok kuchni, dziesięćkroć po sobie położyła w czerwoną kolébkę, która tam stała przygotowana, coś maleńkiego, ładniutkiego, ale dziesięćkroć razy młodzieniec z białą

kokardą i rozmarynem na kapeluszu, odniósł podarek bociana, w małéj trumience na smętarz świętéj Trójcy. Próżno mawiał pan ojciec swojéj małżonce: „Błogosławiona żona, która rodzi i Panu Bogu oddaje," ona jednak niknęła w oczach. Dopiero, gdy wykonała wielką pielgrzymkę na świętą górę, na któréj tak surowo pościła, że aż pięć razy omdlała na drodze i już myślała, że żywa do domu nie wróci, rzecz ta przybrała szczęśliwy obrót i w krótkim czasie wesoło igrały rumiane dziatki między kurczętami na błotnistym dworze. Na imię im było Emeryk, Melchjor, Eustachy i Ludmiła. Pani mama mawiała od tego czasu, żeby nikt sobie nie myślał, że dla niego nie ma „odpuszczenia lub miłosierdzia."

W mieście nie mało się śmiano z niezwykłych imion synów pana ojca; ale on bardzo mało sobie z tego robił. Trzymał się stale prastarego rodzinnego zwyczaju, i jak tylko narodził mu się potomek, zaraz patrzał w kalendarz, i według świętego, którego pamiątkę właśnie obchodzono, musiało się dziecko nazywać; żona mogła się sprzeciwiać jak chciała, a ludzie dziwić, ile im się podobało.

Wyszukać imię swoim dzieciom, to było pierwsze, ale zarazem i ostatnie staranie pana ojca. Jak tylko z niemi przyszedł od chrztu, już więcéj na nich nie spojrzał, ba! nawet mu na myśl nie przyszło, żeby powinien był miéć o nich jakąśkolwiek pieczę. Całe staranie o dzieciach spadło więc na panią mamę, a każdy jéj się dziwił, jak przy swojéj ciężkiéj pracy doskonale odpowiedziała swemu zadaniu. Kąpała dzieci regularnie w każdą sobotę, kiedy miały podarte ubranie, posyłała natychmiast po krawca, aby im zrobił nowe i wzięła do domu starą żebraczkę, sławną ze swojéj pobożności i mnóstwa modlitw, które umiała na pamięć, aby jéj dzieci w nabożeństwie ćwiczyła. Ale daléj już nie sięgały jéj dążenia, a właściwie jéj pojęcia o wychowaniu. Miłe dzieci rosły więc jak drzewa w lesie, nikt nie budził i nie kierował ich zdolnościami, nikt nie czuwał nad ich rozwojem i nad kierunkiem ich charakteru. Gdy przyszły do kuchni, aby się matki o co zapytać, ta zaraz szukała miotły i posyłała je do ich na pół głuchéj, ustawicznie w jakiémś pobożném rozmyślaniu pogrążonéj ochmistrzyni; jak się w izbie przed panem ojcem zakręciły, już ten sięgał do kąta po trzcinę; czeladź raz im niewolniczo ulegała, a znów będąc w złym humorze dokuczała im; goście się nietylko w mowach swych nie strzegli przed niemi, ale często jeszcze drażnili je nieprzyzwoitemi żartami; ale naprzekor tym wszystkim nieprzyjaznym okolicznościom, w każdém z dzieci rozwinął się znakomity, samodzielny charakter, nieprzełamany pociąg do ideału, surowa cnota. Szkoda, szkoda! że wam los nie pozwolił w szczęśliwszych stosunkach być pożytecznemi światu, przez wasze świetne przymioty, wy duchy drogich mi nieboszczyków!

Czas płynął jak woda; pani mamie się zdało, że Emeryk dopiéro przed tygodniem się urodził, a przecież miał on już dziesiąty rok i jeszcze nie wiedział co to szkoła! Pan ojciec naukę odkładał od roku do roku, mawiał, że jeszcze dość czasu na to utrapienie, że on sam nigdy w szkole nie bywał, a że jednak umié poczciwie na chléb zapracować, lepiéj niż wielu, o których wiedział, że rodziców kosztowali więcéj funtów srebrników niż sami zaważyli. Bóg więc wié jakby to ze szkołą wypadło; pewnoby jéj dzieci całe życie nie poznały, gdyby się w to nie wdał pan dziekan. Razu jednego zjawił się osobiście u pana ojca i ostro go zapytał, czy chce ze swych dzieci miéć chrześcjan, których dusza ma być kiedyś zbawioną, czy pogan równających się niemym stworzeniom? Pan ojciec się zmieszał trochę, gdy mu oświecony ksiądz zaczął do duszy przemawiać, jakiego grzechu dopuszcza się na swych dzieciach, że je zostawia w głupocie i ciemnocie i nie wprzód odszedł, aż mu ten podał rękę i przyrzekł, że swój błąd naprawi. Dzieci skakały aż do pułapu, jak usłyszały, że będą chodzić do szkoły; gdyż to dawno było ich najgorętszém życzeniem. Ale jednę rzecz jednak pan ojciec wymówił sobie u kantora, kiedy je tam zaprowadził; musiał mu ten święcie przyrzec, że z nich żadnych nie zrobi mędrków, ci bowiem byli mu solą w oku. Nie miał więc, jak mówił, nic przeciw temu, że się jego dzieci nauczą dobrze pisać, rachować i czytać, ale ani słowa więcéj, inaczéj się z kantorem na wieki pogniéwa. Pan ojciec chciał miéć ze swoich synów porządnych rzemieślników, a tym, jak mówił, więcéj nie trzeba wiedziéć; on sam z doświadczenia wiedział że to tylko na złe wychodzi. Przecież w samém miasteczku było kilku, którzy zuchwale uczoności liznęli, jak gdyby to była rzecz dla każdego prostaka, a nie tylko dla panów, którzy wedle upodobania mogą Pana Boga z czasu okradać. Zostali też porządnie za swoją pychę ukarani: niebo ich poniżyło, jak każdego kto się sam wywyższa. Stracili oni wszystko haniebnie, dla tego że swego nie pilnowali i byli radzi, jeśli mogli u pana ojca, z którego prostactwa wprzód się naśmiewali, napić za darmo!

Pan ojciec do gruntu wybadał, jak to bywa na tym świecie i nieznosił w swoich poglądach żadnego przeciwieństwa.

Ale jego dzieci jak na złość rwały się do nauki, jak gdyby wszystkie na księży wyjść miały. Pół dnia niewyszło, aby Pan ojciec nie sięgał do kąta po swoją trzcinę; ciągle chodziły do niego po krajcary na atrament, na papier i na podobne niepotrzebne wydatki, na które on sam, jak żył na świecie, szeląga nie wydał.

Mała Liduszka nie została w tyle za braćmi, albowiem i ona chodziła już do szkoły; pan ojciec chciał się już od razu pozbyć tych bębnów,

aby nie miéć kłopotu z tém pamiętaniem, kiedy na kogo z nich przyjdzie koléj na szkołę. Dziewczę miało rozumną główkę i czułe serduszko; wcześnie okazywało swą dobroć i poświęcenie, przez które stało się aniołem stróżem, nietylko dla rodziny, ale dla każdego kto żył blisko niéj i cierpiał. Nadewszystko robiło na nią wrażenie to, co ksiądz uczniom z katechizmu wykładał; jego słowa utkwiły w niéj na zawsze. Całe noce przepłakało wrażliwe dziewczę nad mękami Chrystusowemi, i ciągle jéj w myśli tkwiło, jakby się stać godną jego ofiary. Zaczęła od tego, że usiłowała dosłownie pełnić jego wzniosłą naukę; nikt z uboższych sąsiadów niezachorował, aby mu Liduszka od matki niewyżebrała trochę rosołu. Jeśli zrobił kto w domu szkodę, zaraz wzięła winę na siebie i zniosła spokojnie za winowajcę karę i połajanie. Ale najwięcéj współczucia i miłości żywiła dla biednych dzieci z okolicznych wiosek, każdego dnia i w każdą porę w nędznéj odzieży przychodzących do szkoły.

Zamożniejsi uczniowie z sąsiedztwa stołowali się razem z panem nauczycielem, a biedniejsi przynosili swą skromną strawę w tłomoczku na plecach. Liduszka musiała się zawsze ze łzami w oczach odwracać od nich, gdy pod piecem na ławie twarde gryźli skórki, smutnie na szczęśliwszych poglądając towarzyszów. To ją tak trapiło, że odważyła się na czyn śmiały: zebrała razu jednego tych wszystkich odepchniętych od losu i zaprowadziła ich do ogródka za gospodą. Tam musiały przykucnąć za płotem, aby je nikt z czeladki nie zobaczył, a ona przykazując im aby milczały, śpieszyła do kuchni. Tam nie było trudno znaleść co do zjedzenia: tu gość zostawił na talerzu kawałek pieczeni, tam stała niedopita szklanica z piwem, tu znowu leżał kawałek białego chleba. Nikt nie zauważał jak dziewczę jedno po drugiém zręcznie wynosiło, i takim sposobem prawie codzień małych swych gości tém wyczęstowała, co niedbałe służące zwykle rzucały w pomyje.

Rodzice zdrętwieli, gdy na raz poczciwi wieśniacy z okolic, przyszli im dziękować ze łzami za dobrodziejstwo ich dzieciom wyświadczone. Z początku uważali to za omyłkę, ale przecie, nakoniec, jakoś się porozumieli.

Lecz zaledwie wyszli za drzwi, dopiéro źle było z naszą Liduszką, że bez pozwolenia rodziców wydaje. Ale mała samarytanka ani się nie prosiła, ani nie płakała, kiedy miała być karaną, broniła się tak poważnie, rozumnie i z godnością, że panu ojcu ręka z podniesioną trzciną mimowolnie zwisnęła; a gdy z rozognioną twarzą zaczęła prawić o powinnościach każdego chrześcijanina względem swego bliźniego, pani mama uciekła zaraz do kuchni, jak gdyby się jéj tam kiełbasa paliła; ale ona uciekała dla tego, aby się tam w skrytości do syta wypłakać mogła.

Od téj pory, gdy Liduszka przyciągnęła ze swym głodnym pułkiem, za każdą razą znalazła wielką misę z przygotowaną już zupą, i nikt z czeladzi na biedne dzieci, nawet skrzywić się nieśmiał.

Dzieci także robiły Liduszce przysługi, ale szczególniéj Karolek od gajowych. Był to czupurny chłopczyna z pyzatemi czerwonemi policzkami, prawie w wieku Liduszki. Dniem i nocą przemyśliwał, jakby Liduszce za jéj dobroć sprawić jaką uciechę; ale cóż jéj ofiarować gdy gajowy sam nieraz niewiedział rano, co w południe dzieciom swym na misę naleje? Mimo to jednak Karolek nie zawsze był w kłopocie; szumiący las był dla niego niewyczerpaną skarbnicą darów dla małéj przyjaciołki, która przyjmowała bukiecik jagód, sznurek jarzębin nawleczonych jak korale, oswojone ptaszę z taką radością, jakby jéj dawał najdroższe rzeczy.

Ale przemyśliwając jakby się Liduszce odwdzięczyć, zapomniał chłopak o elementarzu; na egzaminie prawie każdy dostał choć obrazek, tylko Karolek szedł do domu z próżnemi rękoma. Chłopczyna wprawdzie niebrał zbyt do serca swojéj klęski, ale tém więcéj płakała i szlochała Liduszka nad poniżeniem swego ulubieńca. Jéj łzy bardziéj działały na chłopaka, niż wstyd publiczny i gniéw ojca; chodził od tego czasu całkiem zamyślony, figle go już wcale a wcale nie radowały, przestał igrać z wesołemi towarzyszami, a gdy szkoła znów się zaczęła, niespuszczał w szkolnych godzinach z kantora, swoich niegdyś tak biegających oczu i razem z Liduszką uczył się na pamięć zadanéj lekcji. Jedném słowem, Karolek był teraz najpilniejszym uczniem, za takiego też na następnym egzaminie został publicznie ogłoszonym i uczczonym wielką czerwoną księgą, z rąk sąsiedniego hrabiego zaproszonego jako gościa.

Liduszka daleko bardziéj pyszniła się ze sławy Karolka, aniżeli ze swojéj własnéj. Mówiła ona tegoż dnia długą łacińską mowę, któréj oprócz księży nikt pewno nierozumiał, całe zebranie jednak się rozpłakało. Pani mamie ta cześć okazana jéj córce strasznie pochlebiała; niezmiernie ją téż na ten dzień wystroiła. Kazała jéj przerobić suknię którą dotąd chowała jak skarb jaki.

Zdarzyło się bowiem, że razu jednego w nocy jakaś przejeżdzająca, znakomita dama zachorowała nagle; przelęknięci słudzy zanieśli ją do gospody, gdzie pani mama zajęła się nią z taką ochotą i poświęceniem, czuwając sama nad nią przez kilka nocy, że dama, od któréj wzdragała się za swoje usługi przyjąć zapłaty, z wdzięczności darowała jéj suknię. Była to, jak mówiła, ta sama suknia w któréj cesarzowa Marja Teresa uszczęśliwiła swoją obecnością bal, po koronacji dla niéj przez czeskie Stany wydany. Dama ta należała do dworu i od saméj cesarzowéj dostała to ubranie, w którém się Liduszka w ten dzień sławny pyszniła. Ale poraz pierwszy i ostatni Liduszka w te drogie ustroiła się suknie; zdawało się jéj grzeszną próżnością chodzić

w tak przepysznych materjach, i matka musiała na jéj prośbę kosztowną suknię darować do kościoła, gdziem ją jeszcze sama podziwiała w kształcie chorągwi. Obok téj pamiętnéj sukni zdobiła Liduszkę tą razą jeszcze podarowana fryzura, prawie tak wysoka jak jéj mała figurka, kaftanik na fiszbinach ogromnéj objętości i jasno zielone trzewiki, z wysokiemi, czerwonemi koreczkami. To obuwie tak jéj się od tego czasu podobało, że w święta nie nosiła innego; pamiętają ją w niem jeszcze, jako siedmdziesięcioletnią staruszkę, chociaż już bez czerwonych koreczków.

Właśnie Liduszka trzymając Karola za rękę, opowiadała rodzicom o ich wspólnéj chwale, gdy w tém wpadł do izby stary gajowy, cały zaczerwiony, porwał dziewczę w objęcia i całował tak długo i tak gorąco, że aż krzyczeć zaczęła.

Gajowy opowiedział że to jego hrabia, Karolka książką obdarzył i że chłopiec tak mu się przy egzaminie spodobał, że chciał o nim mieć staranie, zrobić z niego pana, a jego rodziny los znacznie polepszyć.

— A któż był przyczyną tego szczęśliwego obrotu rzeczy, jeżeli nie Liduszka, która, jak matka, napędzała chłopca do pilności? Stary gajowy twierdził, że jéj wszystko zawdzięcza i wylewał nad nią łzy wdzięczności i szczęścia, a wszyscy przytomni płakali z nim razem.

— Dajcie już pokój ludkowie, rzekł z uśmiechem jeden z gości, aby konceptem téj scenie koniec położyć, „przecież to Karolek za kilka lat Liduszce odsłuży, a jeśli uczyniła z niego pana, to on znowu za to panię z niéj zrobi. Uważajcie panie ojcze, czy nie będziecie miéć co przeciw temu, gdy z tych dwóch osóbek będzie para.

— Cóżbym miał miéć przeciw temu, jeśli taka będzie wola Boża i jeśli Karolek dobrą służbę dostanie? odparł pan ojciec i przyłożył do ust kufel, który od niejakiego czasu ciągle pełny przed nim stać musiał, nad czém pani mama kilka razy dziennie z boleścią wzdychała. „Dziewczyn najlepiej prędko się pozbyć z domu,” dodał powtórzywszy haust, „zwłaszcza, jak u nas, w gospodzie.”

— Biorę was za słowo, przerwał mu gajowy; „dajcie rękę, jeśli tylko szczerze mówicie.”

— Dla czegożbym nie miał mówić szczerze? rzekł pan ojciec, podając mu prawicę całkiem obojętnie; ale dosyć już o tych fraszkach, zacznijmy mówić o czémś ważniejszém. Kiedyż się u was w majątku pańskim zacznie polowanie? Pewno mnie tego roku tak nie przeładujecie zwierzyną jak przeszłego?... I starzy wszczęli wielce ważną i długą rozmowę, młodzi zaś nie stracili ani słówka ojców swoich i od téj pory uważali się za narzeczonych, a w miasteczku jeszcze tego samego wieczora wyrachowano najściśléj, za ile lat będzie wesele, i kogo na nie zaproszą.

Ze synami swemi pan ojciec nie wychodził, tak dobrze jak z pobożną córeczką, a niepokój o nich dawał pani mamie za przyczynę, dla czego tak miłuje towarzystwo nieszczęśliwego kufla jeśli kiedy ośmieliła się robić mu wymówki. Zwłaszcza dwaj starsi narobili mu wiele kłopotu. Emeryk naprzykład, przepadał za obrazami: gdy gdzie o jakim pięknym obrazie usłyszał, bądź co bądź musiał go widzieć. Jak się razu jednego dowiedział, że pan burmistrz kazał umyślnie przywieść sobie z Pragi dwa obrazy, nie miał dotąd pokoju, aż dopóki tajemnie nie zakradł się do rezydencji czcigodnego naczelnika gminy i nie wkręcił się do paradnego pokoju, gdzie, jak mówiono, na pokaz wisiały. Ale go tam złapano i już czeladź gotowała się wytrzepać mu porządnie skórę, aż na szczęście jeden z pisarzów, który do pana ojca chodził na piwo, poznał go i wyswobodził.

Po całych godzinach ten dziwny chłopiec wpatrywał się w obrazy na ołtarzach i często kazał się kościelnikowi na noc w kościele zamykać, aby zobaczyć także, jak one przy księżycu wyglądają. Czy słyszał kto w życiu coś podobnego? Pan ojciec załamywał nad nim ręce, jak nad zupełnym warjatem. W domu bazgrał po wszystkich ścianach, rysował, co mu pod oczy podpadło—tu koła domowego, tam psa, tu znowu coś innego. I ludzi umiał odrysować, i to tak dobrze, że nie jeden się przeląkł, gdy zobaczył niespodzianie jego malowidła, myśląc że przed nim żywe stoją osoby. Ale ta umiejętność biednemu Emerykowi dała się we znaki. Najstraszniejsze spotykały go przykrości, gdy ta lub owa poważna osobistość poznała się w jego śmiałych wizerunkach. Wszystkie napomnienia, wszystkie groźby były daremne; ani Liduszka, ani trzcina nic na chłopcu nie wskórały; to bazgranie tkwiło mu, jak choroba, we krwi. Powoli całe miasto zjawiło się na podwórzowéj ścianie gospody pana ojca, skarga za skargą postępowała, a gdy nakoniec i syndyk przybiegł cały rozwścieklony i skarżył się na wyrodnego chłopca, że sobie z poważnych i szanowanych ludzi grzeszne stroi żarty, w ojcu krew zakipiała i postanowił tym błazeństwom nagły koniec położyć.

Nie rzekł ani słowa do Emeryka, ale chwycił za świąteczną kapotę, wsadził swą najnowszą, aksamitną czapkę na głowę i tak wystrojony pobiegł do sąsiada mydlarza. Tylko Liduszka patrzyła nań ze strachem, nie tusząc sobie nic dobrego.

I nie omyliła się; na drugi dzień pan ojciec kazał wcześnie rano zbudzić Emeryka i powiedział mu, żeby swoich rzeczy poszukał i związał je, a potém pośpieszył do majstra mydlarza, którego od dziś dnia jest uczniem.

Emeryk skamieniał. Wiedział wprawdzie biédak, że ojciec myśli go oddać do rzemiosła, jednakże ta wiadomość tak go w zdumienie wprawiła, jak

gdyby ją po raz pierwszy usłyszał. Przecież młodość tak lubi ufać szczęśliwéj przyszłości. Myślał on, że się ojciec zmiękczy, że na jego zamiary kiedyś zezwoli. Ukrywał więc je starannie oczekując przyjaznéj chwili, aby się z niemi wywnętrzyć, i ze zdziwieniem usłyszała płacząca Liduszka, która przyszła brata pocieszyć, jakie to zuchwałe zamysły zrodziły się w jego kędzierzawéj głowie. Rozpaczający chłopiec nie tail już przed nią, że chciał iść do Pragi do malarzy, którzy tam, jak to dobrze wiedział, swój cech mieli. Słyszał on jacy sławni artyści wyszli z ich towarzystwa. A teraz już wszystko na wieki stracone.

Liduszka wprawdzie twierdziła, że wszystko może jeszcze inny wziąść obrót, ale Emeryk wiedział doskonale, że pan ojciec nigdy od tego nie ustąpi, co raz postanowił, gdyby to nawet z jego własną było szkodą. Zwłaszcza co się tycze dzieci, był nieubłagany, a najmniejsza różnica między jego a ich zdaniami, już mu się zdawała buntem przeciw jego ojcowskiéj powadze. Nic dziwnego, że Emeryk, choć już prawie młodzieniec, nie pomyślał o tém aby sam sobie poradzić. Wedle wymagania ówczesnego wieku, w domu i w szkole był przyuczony do ślepéj uległości rodzicom i uważał sam, każde oburzenie się przeciw woli starszych, za grzech śmiertelny.

Szedł więc do majstra ciężko zasmucony. Jeszcze, jako prawie stuletni starzec, dziadek Emeryk łzy wylewał, gdy opowiadał nam o swojéj ówczesnéj duchowéj i cielesnéj niewoli.

W niedzielę, przed południem po słowie Bożem, mógł na chwilę odwiedzić rodziców. Pan ojciec nigdy go nie zapytał, jak mu się powodzi? myślał by, że sobie przez to ubliża. Ale widząc syna niegdyś tak czułego i żywego, teraz cicho jak baranek ze spuszczonemi oczyma i blademi licami siedzącego przy stole, śmiał się w duszy z zadowoleniem, że wpadł na tak dobry pomysł, dać go do sąsiada mydlarza, widząc, że ten potrafił obciąć mu skrzydełka.

Ale Liduszka w skrytości płakała gorzko nad przygnębieniem brata i nad jego do krwi spracowanemi rękoma, które tak chętnie, i o ile sądzić można z niektórych próbek, tak mistrzowsko pędzlem by władały. Kiedy mogła, kupowała mu papieru i farb, i wywołała za każdą razą słaby odblask szczęścia na jego twarz strapioną. Gdy w niedzielę wieczorem majster z czeladnikami wynieśli się na piwo, a zła majstrowa ze swojemi rozpustnemi dziećmi poszła spać, Emeryk wchodził na górę, gdzie sypiał i jeśli mu tylko zmęczenie i płacz pozwalały, przy niedopalonym kawałku świeczki bazgrał i bazgrał z przyśpieszonym oddechem, z iskrzącemi oczyma, jak za dni szczęśliwszych.

Ale zaledwie pan ojciec pozbył się Emeryka, już nań czekały nowe „turbacje” z Melchjorem. Ten znowu cały dzień boży siedział wśród książek, a to w praktycznych oczach pana ojca tyle znaczyło, co bezwstydnie próżnować.

Ksiądz dziekan jeszcze popierał chłopca w téj namiętności, i choć Melchjor już przeszło od roku wyszedł ze szkoły, musiał jednak chodzić jeszcze do niego, a on go darmo uczył. Pan ojciec chciał by wiedzieć tylko, czego on go mógł uczyć? Myśl, że jego chłopiec jest darmozjadem, okropnie mu dokuczała. Kazał sobie napełniać kielich częściéj jeszcze niż wprzódy, a krzyczał jeszcze głośniéj i walił w stół jeszcze bardziéj niż za zwyczaj. Tak, tak, już widzę, że już nie ma rady że już muszę raz przecie powiedzieć prawdę o panu ojcu; chociażem tego dość długo unikała: już nie mógł ani na chwilę obejść się bez swego kufla, brał go nawet z sobą kiedy szedł spać, stawiał go obok łóżka na stole i budząc się, popijał z niego.

Pani mama nie śmiała go już napominać; skoro tylko się odezwała, zaraz łamał krzesełka i rozbijał dzbanki. Zaiste, szło tu o życie, kiedy się rozłościł. Co się przytém z jego procederem działo, niepotrzebuję nawet powiadać, niegdyś w tak kwitnącym stanie, z każdym dniem, coraz więcéj upadał.

Gdyby ksiądz dziekan nie popierał Melchjora, pan ojciec byłby z nim tak prędko skończył, jak z Emerykiem. Nie wytrzymał jednak, gdy Melchjor jednego razu niespodzianie przed nim wystąpił i śmiało, jak gdyby był w swojem prawie, żądał, aby go puścił do Pragi na kursa, dowodząc że tylko w pierwszych latach będzie potrzebował pewnéj pieniężnéj podpory, a późniéj spodziewa się sam sobie dać radę. Wtedy taki powstał hałas w gospodzie, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby się stary domek rozwalił. Pan ojciec w swym sprawiedliwym gniewie, od zmysłów odchodził, i gdyby piwniczy chłopaka za kołnierz nie złapał i nie wypchnął za drzwi, pewnoby Melchjor żywy z miejsca się nie ruszył. Musiał uciekać i u jakiegoś krewniaka przez wiele dni się ukrywać, zanim się ośmielił znowu przestąpić próg ojcowski. Napróżno ksiądz dziekan przyszedł osobiście prosić za nim; napróżno mówił ojcu o znakomitych zdolnościach syna, napróżno mu dowodził, że chłopiec głową swoją może tyle dokazać, że go ojczyzna policzy z dumą między pierwszych pisarzy: uparty starzec naśmiał się w oczy księdzu dziekanowi. Dowodził mu przeciwnie, że żadnych ksiąg, a zatém żadnych pisarzy już niepotrzebujemy; że mamy biblję, która nam pokazuje drogę do zbawienia, i czeską kronikę, która nas przyucza do życia i jego zmiennych losów: czegóż więc żądać więcéj? Wszelka inna uczoność, wedle niego, niemogła być niczém innem jak marnością i igraszką.

Ksiądz dziekan odszedł z gniewem, nic nie wskórawszy, albowiem nawet uprzejma jego pro-

pozycja, że już sam będzie wspierać chłopca, nie została przyjętą; pan ojciec rzekł mu bez ogródki, że praw swoich do własnego dziecka nie sprzedaje i Melchjor musiał iść do majstra krawca na naukę.

Ale Melchijor nie był taki dobroduszny, jak jego brat starszy; był on namiętny i uparty, jak ojciec. Zamiast elegicznéj boleści nad zniszczonemi nadziejami, zagnieździła się w jego sercu gorąca zawziętość; wrzał w nim nieustannie gniew zacięty, który się na majstra wylewał.

Majster z początku chciał z góry wsiąść na niego, aby upartego ucznia zastraszyć i pohamować; ale to dopiero, biedak sobie narobił. Uczeń wszczął z nim wojnę słowem i czynem, a jeśli nie nadeszła zkąd pomoc majstrowi, zwyciężał go nawet z chwałą. Jeszcze niektóre stare osoby w B. pamiętają, jak jednego razu w samą niedzielę, gdy ludzie wracali z summy, gonili się na około ratusza stojącego pośrodku rynku, obaj, Bóg wie jakim, nigdy nie wyjaśnionym trafem, prawie bez ubrania.

Dawno byłby majster wygnał Melchjora, gdyby się nie bał pana ojca; winien mu był bowiem kilkaset złotych i bardzo słusznie się domyślał, żeby mu je natychmiast wymówił, jak tylko by mu syna odesłał do domu. Nawet nie śmiał skarżyć się na niego, a gdy widział, że z nim nic a nic nie poradzi, wielce filozoficznie uczynił, że mu pozwolił robić co mu się podobało.

Melchjor nioemieszkał skorzystać wedle woli z wywalczonéj sobie wolności; cały dzień boży grzebał w ogromnéj skrzyni, napełnionéj staremi księgami, którą w domu znalazł na strychu i przywiózł z sobą na wygnanie do majstra. Było w niej mnóstwo starych pożółkłych kronik, książek do modlitwy z malowanemi obrazkami, biblji w skórę oprawnych i w mosiądz sztucznie okutych, prawdziwy skarb z każdego względu. Wieczna szkoda, że po śmierci dziadka, ten zbiór nieoceniony, przez niewiadomość za kilkanaście groszy kupcowi na tutki sprzedano, zanim jeszcze inaczéj można było postąpić.

Między innemi drogocennemi rzeczami znalazł w skrzyni chłopiec drzewo genealogiczne swojéj rodziny, niegdyś panów R. z R...thalu.

Melchjor wiedział, że jego ród jest pochodzenia szlacheckiego i często pytał się ojca o papiery, praw jego dowodzące; ale pan ojciec, któremu panowie byli solą w oku, przy swym praktycznym kierunku i demokratycznym sposobie myślenia, mało dbał o takie zabawki, jak herb i genealogje bardzo niegrzecznie nazywał; co dosyć jawnie okazuje się z miejsca, jakie tym dokumentom przeznaczył. Zbywał chłopca krótko i nie bardzo czule, za każdą razą, kiedy ten przychodził do niego z podobnemi pytaniami. Ale syn w tym względzie całkiem myślał przeciwnie; szczęśliwie znalezione drzewo genealogiczne było mu droższe nad miliony, i z dumą oprawił je w ramki i zawiesił sobie nad łóżkiem.

Melchjor nie był jedynym w rodzinie, który wiedział o swojem pochodzeniu szlacheckiém, ani jedynym, który się pysznił z niego; wyjąwszy pana ojca wszyscy R...owie strasznie pysznili się ze swego starego nazwiska i herbu, który jeszcze przed dwudziestu laty stał wyciosany nad bramą na cmentarzu św. Trójcy. Ta duma rodowa jest cechą charakterystyczną całego plemienia i sięga aż do naszych czasów. Żaden z R...ów nieceluje ani majątkiem ani stanowiskiem w świecie; przeciwnie, większa ich część walczy z kłopotami o chléb powszedni i tak w najprostszy sposób zarabiają na ten dar boży; ale wszyscy zadzierają nosa z taką wyniosłością, że najdumniejszego granda hiszpańskiego zawstydzićby mogli.

Pewno w żadnéj rodzinie nie panują tak surowe prawa etykiety i pewno nigdzie tak ściśle się ich nie trzymają. Jakie to tam reguły, który którego powinien w rękę pocałować! Dawniéj, jak mówią, całowali się nawet w nogi.

Jakiéj to głębokiéj nauki potrzeba, zanim człowiek wybada, kogo może *tykać* a kogo musi tytułować panie bracie albo pani siostro, komu należy się pierwsze miejsce u stołu, a w jakim porządku ma usiąść reszta krewnych; do kogo należy prawa strona, i do kogo korrespondencje powinny się zaczynać od formułki: „Pochwalony Jezus Chrystus, pokornie ręce i nogi całuję" i t. d. Gdybym chciała wszystko wyliczać, nie skończyłabym do dnia sądnego. Mój miły Boże, jakie to gniewy, poróżnienia i wieczne nieprzyjaźni powstawały i trwają dotąd z przyczyny przestąpienia tych praw, nad wykonaniem których, kilka starych ciotek z całą surowością czuwało. Widziałam drzewo genealogiczne, wiszące jeszcze nad łóżkiem starego dziadka i słyszałam go za każdym razem, przy jego rzadkich odwiedzinach w B. z zamiłowaniem rozprawiającego o swojem pochodzeniu.

Wedle jego podania, Karol czwarty życzył sobie umiejętnego flecisty do swojéj orkiestry, ale nie znalazł w kraju żadnego wedle swojéj myśli.

Jego małżonka, francuzka rodem, napisała w tajemnicy do swéj ojczyzny. Zgłosił się obcy artysta, grał przed cesarzem i tak bardzo wzruszył go swoją miłą grą, że ten natychmiast wyniósł go do stanu szlacheckiego i z bogatą a piękną panną czeską ożenił. Tento artysta stał się praojcem naszéj rodziny i jego imię błyszczało na wierzchołku ogromnego drzewa, namalowanego na pargaminie i w miejsce listków samemi imionami pokrytego.

Póżniéj R...owie zostali namiętnymi stronnikami nowéj wiary i poświęcali jéj często krew i majątek, jak dziadek zawsze mówił z natchnieniem.

Po nieszczęsnéj Białogórskiéj bitwie pan R. z R...thalu tak bardzo wziął do serca stan rzeczy, że wielce niehonorowo oddał się pijaństwu i umarł, zanim zdołał wykonać swój zamiar opuszczenia ojczyzny. Żona jego poddała się okolicznościom, kazała dzieci w katolickiéj wierze wychować, a dziadek zgrzytał zębami, ilekroć przyszło mu to na myśl. Dawny dobrobyt rodziny z każdym pokoleniem coraz bardziej upadał, a pan ojciec po swoim ojcu objął gospodę, którą ten zlepił jako tako z napół zwalonéj kuźni.

(Dokończenie nastąpi).

ANNA Z SAPIEHÓW JABŁONOWSKA.

(Dalszy ciąg).

Jabłonowski sam zaczepiał o tę sprawę Sapiehów i pokazywał tyle dla nich dobréj woli, że aż rozradowało się serce ks. koadyutora. „Nietylko ze znacznej fortuny, ale z zacności imienia, et ex singulari probitate jest partya arcy conveniens." Ojczym tylko upominał się o posag. Całem sercem na to przystawał koadyutor, ale w obecnej chwili nie mógł nic powiedzić. Generał pozostawił tak ogromne długi, że znaczne z nich dochody dotąd nie wystarczały na opłatę samych procentów. W takim razie jak tutaj znaleść kapitał na wyposażenie? Sprzeciwiało się i prawo temu, żeby koadyutor wyznaczał posag. Mógł ojciec ze swojéj, matka ze swojéj strony dać go w każdéj chwili, ale opiekun miał tutaj związane ręce, bo służyło mu tylko prawo wyznaczyć część wypadającą z podziału, ale razem i obciążoną długami. Gdyby za mały posag, wyznaczył według pozostałości majątkowéj ojca, byłby odpowiedzialny przed synowicą; gdyby za wielki, skrzywdziłby jéj braci. Zresztą, żeby posag dobrze oznaczyć, należało wiedzieć, co wyniesie część czwarta wartości dóbr, i część czwarta ciężarów, bo to pójdzie tylko na korzyść synowicy. W tych tedy okolicznościach, ksiądz Sapieha nie znajdował innego środka, tylko chciał puścić pannie generałównie Siemiatycze, gdyby za mąż poszła, ze wszystkiemi ciężarami, a za dojściem do lat braci, kiedyby stanowczy nastąpił podział fortuny, Siemiatycze mogły by przejść na jéj własność. Cały ten układ oddawał Sapieha pod rozwagę księcia stolnika, jako dobrze rzeczy świadomemu i obiecywał się na wszystko zgodzić, co książę postanowi, jeżeli to nie będzie przechodziło jego możności. Tem téż



przykazując im aby milczały, śpieszyła do kuchni. (str. 4).

mocniéj nastawał na to, żeby stolnik wymiarkował przez jaką zaufaną osobę i starostę prasnyskiego: „który, wyrażał nadzieję, przy tak znacznéj fortunie swojéj, bardziéj podobno szukać

będzie przyjaciela rozumnego i cnotliwego, aniżeli posagowych awantażów. Oczywiście dla zubożałych Sapiehów czysta fortuna Krasińskich miała niezwyczajną wartość. Koadyutor dla tego radził zaczepić starostę otwarcie, żeby się próżno nie łudzić. I do téj chwili pewności, zawieszał wszystkie swoje o posag starania, bo uśmiechała się mu także nadzieja, że Krasiński nie będzie tak bardzo naglił o majątek żony. Koadyutor jednak gotów był na wszelkiego rodzaju ofiary dla „Imci panny generałównéj,” bo bardzo nad tém ubolewał, że dotąd nie była postanowiona i „namienione z téj protrakcyi okoliczności doskonale penetrował.” Panna miała lat 18, więc jeszcze nic straconego nie było. Penetrowanie zaś koadyutora nie do czego innego mogło się odnosić, jak tylko do spóźnionego wieku. „Łatwo temu W. X. M. wierzyć będziesz, prosił się tak stolniką, gdy zechcesz zważyć jak mam wielkie przywiązanie do krwi mojéj i wielką skłonność ad nepotismum.” Ale kto z panów podówczas w Rzeczypospolitéj nie miał téj skłonności do nepotyzmu?

Liczył wiele koadyutor na brata, że wpływem swoim przez żonę, będzie mógł co poradzić u księcia stolnika.

Tymczasem sprawa posagu nie dała ani kroku naprzód postąpić zamierzanym planom. Wydzielenie pewnych dóbr z pozostawieniem na nich ciężarów, nie było to posag dla męża, ale czysta jego strata. Delikatna rzecz była występować nawet z takim wnioskiem, ambicja nie pozwalała. Jabłonowski twierdził i sprawiedliwie, że panna Anna miałaby tyle do płacenia wierzycielom z Siemiatycz, ile by miała dochodu. Wypadałoby sprzedać coś z fortun pozostałych, a dług masy powiększyć, lecz i to się nieudawało już od dwóch lat albowiem koadyutor starał się znaleść kupca na Balbierzyszki, lekkie nawet podawał warunki i napróżno. Koadyutor zawsze o jedném marzył, to jest o wyznaczeniu czwartéj części z długami, żeby się z nich sobie przyszły mąż generałówny oczyszczał. „Kto mi da inne medium (środek) i takie, które będzie mogło przyjść ad exemtionem (do końca), erat mihi mangus Apollo, wołał, będzie i gieniuszem”. Bogwidz pisał też do brata, „że bardzo żałuję synowicy naszéj, ale że brata naszego fortuna jest tak strasznie zawiedziona, że ledwo mogę onę moją własną substancją ratować, któż temu winien? pewnie nie ja.”



gdy nakoniec i syndyk przybiegł cały rozwścieklony. (st. 5).

W początkach lipca w Kocku pod przewodnictwem kanclerza Sapiehy zebrali się na układy członkowie spokrewnionéj Radziwiłłów i Sapiehów rodziny. Stolnik Jabłonowski był pośrednikiem i ułatwiał pierwsze kroki. Chodziło tam właściwie o ustalenie spraw majątkowych z powodu małżeństwa łowczego Sapiehy, ale raz zagajone układy przy dobréj woli stron, mogły się i do innych przedmiotów rozszerzyć. Żałował mocno koadyutor, że w Kodniu nie był z powodu nawału spraw i rozpoczęcia kuracji letniéj, nadto zapóźno się o tym zjeździe dowiedział. Słał jednak do układających się panów swoje perswazje, bo niełatwo dał się z miejsca wysadzić. „Rozumiem, pisał, że spes (nadzieja) posagu pewnie non alliciet (nie zapali) Imći Pana starosty przasnyskiego”. Spodziewał się, że sama chęć „pięknie utalentowanego dożywotniego przyjaciela,” przytem tytuł dziedzictwa na Siemiatyczach, które jednak kilkakroć sto tysięcy będą warte, mogły by prędzéj go nakłonić. Dla tego, kiedy i Eperyaszy się nie nadał, koadyutor trzeciego Jabłonowskim dyplomatę nastręczał, jakiegoś p. Skrzebienia, który miał stare zasługi w domu Krasińskich i pana starostę znał jeszcze dzieckiem.

Jabłonowski radził, żeby wypuścić w dzierżawę Wysokie lub Siemiatycze i tém spłacić posag. „Gdyby intrata którejkolwiek z tych majętności

była wolna ab onere (od ciężaru) płacenia prowizji kredytorom, dawnobym się tego domyślił," odpowiedział ks. koadyutor. Nadto robił słuszną uwagę, że przez wydzierżawienie zmniejszałby się dochód na stratę massy i razem wierzycieli, bo dzierżawca utrzymywałby się z dóbr i wierzyciele nie doczekawszy się z intraty swojéj prowizji, wypędziliby go łatwo prawnemi wyrokami. Część dóbr wydzierżawić, kiedy massa obciążona, byłoby to chyba zupełne bankructwo. Na żądanie posłał Jabłonowskiemu koadyutor tabelle dochodów Siemiatyckich. Mogły te liczby przychęcić starostę przasnyskiego, jeżeliby nie zraziła go okoliczność, że trzeba tylko patrzyć na dochód i oddawać natychmiast. Sam tytuł dziedzictwa, piękna panna, świetne związki rodzinne, wreszcie wpływ księcia stolnika, są to ważniejsze wędki dla starosty niżeli posag. Późniéj cokolwiek do tych zachęt przybyła nowa. Kanclerz doniósł koadyutorowi, że strażnikostwo, urząd wielki, może zawakować, i ks. Sapieha pomyślał zaraz o Krasińskim i chciał pisać do Drezna jak przyjdzie czas, żeby się wprzódy nie wystawiać na żarty. Zdaje nam się, że Koadyutor wskazując na rzeczywiste trudności, na niepodobieństwo wyjścia, dawał matce przestrogi, że powinnaby także przyjść w pomoc córce.

Tryumf był wielki i bez Skrzebienia się obeszło: starosta przasnyski oświadczył swoją „inklinacją" (lecz pewnie). (w lipcu 1746 r.) Koadyutor pełen uradowania, oddawał natychmiast Siemiatycze i gotów był wszystko z siebie zrobić „do uszczęśliwienia jéjmości panny generałównéj." Zawstydzał matkę, bo ze swego majątku chciał się do posagu dokładać. Ale kiedy w miesiąc późniéj nic sprawa nie postąpiła, koadyutor pytał się brata: „czy nie słychać co o staroście przasnyskim i o partji dla jéjmości panny generałównéj?" Nadchodził sejm w Warszawie. „Trzeba, aby ją księżna jéjmość dobrodziejka z sobą na sejm wzięła, jeżeli księżna jéjmość stolnikowa w Warszawie nie będzie". Ta pierwsza księżna jéjmość dobrodziejka, była to bratowa koadyutora łowczyna wielka litewska, wdowa po hetmanie Wiśniowieckim, na niéj więc całe teraz spoczywały nadzieje, bo matka znudzona wszystkiém, kapryśnica wielka, gniewała niesłychaną swoją obojętnością ks. koadyutora. Chciał Sapieha wieść synowicę do Warszawy, żeby ją przypadkiem zobaczył starosta przasnyski, czy też puszczał się na morze niepewne przyszłości i na inne powodzenie już rachował? Gotów był koadyutor brata z pomocą przyjaciół wykierować na marszałka sejmu.

Napróżno jednak troszczył się tyle ks. koadyutor, małżeństwo z Krasińskim panny generałówny nie przyszło do skutku. Co było tego zerwania powodem, kiedy swaty już szły tak dobrze, trudno nam objaśnić, bo i w sporym zbiorze listów ks. koadyutora, któreśmy przeglądali, jak w chwili układów często znajdujemy wzmianki o Krasińskim, tak potém panuje grobowe o nim milczenie. Musiał się tém niezmiernie gryść ks. koadyutor, bo upłynęło lat sporo, a pannie generałównie za mąż się nie trafiało. O ile znamy księdza koadyutora, który namiętnie przywiązywał się do swoich i każdą myśl miał tém zajętą, ażeby ich podnosić pod wszelkim względem, o tyle trudno nam przypuścić, żeby przez te lat kilka nie było z jego strony nowych nastawań i kombinacji, jednakże nic się nie wiodło. Mógł naprawdę rozpaczać.

IV. Małżeństwo, książe wojewoda bracławski.

Pannie generałównie lat 22 i 23 zeszło w macierzyńskim domu. W ciągu tego czasu, i Krasiński umarł (w maju 1751), a ogromna jego fortuna rozpadła się w drobne cząstki i cząsteczki i zasiliła wszystkich ubogich Krasińskich. Wtedyto i pannę Annę wyswatano przecie w domu Jabłonowskich, w czem widzimy przeważny wpływ jéj ojczyma. Zdaje się, że koadyutor dożył téj jeszcze dla siebie szczęśliwéj chwili, bo wiemy również, że poczuwał się do wszelkiéj wdzięczności dla Jabłonowskich. Kiedy albowiem zdarzyło się, że w przeciągu tegoż czasu uciekł syn młodszy księżny stolnikowéj do stryja dawniéj łowczego, a teraz już wojewody podlaskiego, nietylko, że go nie przyjęto, ale i zmuszono pana Michała, że wrócił do matki i przeprosił ojczyma.

Generałównę Annę wydano tedy za mąż za księcia, już także księcia, Jana Kajetana Jabłonowskiego, starostę czehryńskiego. Byłtostyrjeczny brat stolnika litewskiego, ojczyma panny. Obadwaj zarówno wnukowie hetmana, który wyniósł rodzinę Jabłonowskich, Kajetan szedł tylko od starszego brata wojewody ruskiego, kanclerza króla Stanisława i autora znakomitego dziełka: „Skrupuł bez skrupułu". Stolnik szedł od młodszego brata. Kajetan był też i bratem ciotecznym ks. koadyutora, bo obadwaj się rodzili z margrabianek de Bethune, siostrzenic M. Kazimiry.

Nic oryginalniejszego jak ta cała rodzina Jabłonowskich, nawet stolnika litewskiego nie wyjmując. Naprzód wszystko to uczeni ludzie i ztąd znani w literaturze, bo dzieła i pisali i drukowali. Wojewoda ruski i dwaj jego synowie Stanisław i Jan Kajetan i synowiec wojewody stolnik litewski, pisali po polsku, wszyscy zaś lubili pobożne poezje, brali przedmioty z dziejów Kościoła lub Starego Testamentu, lubo przerabiali też Tacyta i puszczali się na historyczne pole. O wojewodzie ruskim pisaliśmy osobno. (Księga Świata 1859 zesz. 2). Byłto człowiek najrosądniejszy z całéj rodziny, którą opętał duch pychy. Synowie jego do szczętu odurzeli, możnaby właściwie tu użyć silniejszego wyrazu. Tak bystro u nas wyrastali w nierządzie magnaci. Dziad prosty szlachcic, wyszedł na wielkiego pana pracą najprzód i zasługą, a potem za łaską swego przyjaciela

Jana III. Ale niechnoby kto powiedział Jabłonowskim, że niedawno wyszli ze szlachty! Im w głowie się przewróciło, ztąd, że dziad był kasztelanem krakowskim i hetmanem, że ojciec był wujem króla Stanisława Leszczyńskiego, że matka była siostrzenicą M. Kazimiry, że ród Bethunów, panował niegdyś we Flandryi przed rokiem tysiącznym, jak to poświadczył, największa w takich sprawach powaga ks. Niesiecki w swojéj *Koronie Polskiéj*. Połączyli się sami przez siostry z największemi domami Rzeczypospolitéj; na to potrzeba było jednego, dwóch pokoleń. Polska im rychło zbrzydła, gdzież można było to znosić, co widziało się w Polsce? Szlachcic na zagrodzie równy bywał tu wojewodzie, droga wszystkim do najwyższych godności otwarta; nie ma baronów, hrabiów, książąt, chyba przez kontrabandę; król na sejmie stanowi prawo i order dopiéro co nastał, i to jeden, każdemu udzielany, bez żadnych arystokratycznych obwarowań.

Co gorsza, ta drobna szlachta nie mówiła po francuzku, po dworach europejskich nie bywała. Ludwika XIV, ani XVgo nie widziała w żywe oczy. Wszędzie barbarzyństwo nie do zniesienia.

Jabłonowscy zaś byli w pokrewieństwie nawet z dworami i przez królowę Leszczyńską nawet z najwyższym dworem Francyi, z ideałem dworów. Najruchliwszy z nich był Stanisław, starosta białocerkiewski, późniéj wojewoda rawski. Ten pierwszy sobie u cesarza wyprosił księstwo; w trzy miesiące potém zachęcony tém, wyprosił sobie księstwo, Jan, starosta czehryński: nareszcie cesarz był tak grzeczny iż przywiléj książęcy rozszerzył do ich braci stryjecznych, to jest do wszystkich Jabłonowskich. Poznaliśmy starostę buskiego, który został późniéj stolnikiem litewskim, najprzód ztąd, że o księztwo gorąco się dobijał: wiedział, że bracia stryjeczni blizsi byli łaski cesarskiéj i nieposiadał się długo z niespokojności, że go taka godność minąć może. Ale kiedy wreszcie nie minęła, obchodził księztwo swoje w Koronie i w Litwie wielkiemi obchodami i uroczystościami.

Rzućmy zasłonę na te nędze panów polskich XVIII wieku, bo dosyć nam będzie przypatrzyć się panu Kajetanowi, mężowi generałówny Anny. Umierał wojewoda rawski, kiedy brat jego szedł na województwo bracławskie w r. 1754. To więc jest i godność, pod którą znamą synowicę ks. Koadyatora Sapiehy. Umarł, kiedy ledwie się dowiedział, że wojewodziną bracławską została.

Brak nam słów, żebyśmy mogli dobitnie wystawić małość księcia wojewody pod względem charakteru. Służył niegdyś królowi Leszczyńskiemu i posłował w jego sprawie aż do Turcyi, to się rozumie. Potém się bawił w rodzaj legitymizmu, na króla Augusta nie patrzał prawie i gdyby nie starostwa, a związki rodzinne w Polsce, gdyby nie to, że król był królem, a miłe zawsze z takiemi osobami stosunki, nigdyby Augusta nie znosił; przeprosił się przecie. Przesiedział prawie całe życie we Francyi, a przynajmniéj odbywał do niéj podróże jak do ziemi obiecanéj. Pochlebiał, łasił się, nadskakiwał jak nikt w świecie lepiéj, albo jak wszyscy podobni jemu. Zasługiwał się wszystkim, Wersalowi i Turynowi, Wiedniowi i Dreznowi, (nawet bywał podobno w Madrycie), księztwom wielkim i małym. Był grandem hiszpańskim. feldmarszałkiem cesarstwa, kawalerem Złotego runa i krzyża św. Huberta, który wszyscy Jabłonowscy posiadali. Nie mówimy już o pamiątkach i orderach, bo te miał wszystkie i braciom je wyrabiał, za co znowu wdzięczni książęta wszystkie gale, imieniny i urodziny Ludwika XV, obchodzili w Polsce wielkiemi dworskiemi uroczystościami. Zdziwaczeli Jabłonowscy pychą do tego stopnia, że mieli się za udzielnych książąt. Wojewoda bracławski raz np. wydał taki dyplomat, bo książęta podług wszelkich przepisów dworskich pisali dyplomata: „Jan Kajetan na księztwach Ostrogskiem i Berezdowskiem z Prussów książe Jabłonowski, hrabia na Siemiatyczach i Maryampolu, Jeżopolu, Strzeliskach, Pruskuniewie, Żabotynie, Wilji, Wysokiem, Kawaler orderu Złotego runa, postanawiam i mieć chcę aby jak dwie pierwsze majętności tytuł księstwa, tak ośm ostatnich tytuł hrabstwa nosiły.” (Księga Świata 1859, I 217).

Rozkaz więc wojewody podnosił w Polsce dwa księstwa i ośm hrabstw. Było to już po ślubie z Anną Sapieżanką i dla tego też i dobra Siemiatycze i Wysokie wyniesiono na hrabstwa. Ale zkąd panu temu księstwo Ostrogskie? Ostróg do niego nie należał, był w rękach Sanguszki, który ordynację rozdarował. Oto dowiadujemy się z jednego listu księżny wojewodziny, że dostała z mężem na trzyletnią arendę Ostróg, za reskryptem królewskim.” (Kraszewski, Wspomnienia Wołynia, II. 195.) To i dosyć, żeby się księciem ostrogskim tytułować, a w istocie pięknie to nazwisko brzmiało.

Książe Jabłonowski nie był ani młody, ani piękny, ani bogaty, do tego wdowiec, kiedy się żenił z Anną Sapieżanką. Wiemy też, że późniéj nie bardzo porósł w pierze, bo wziął dwa klucze, ale obdłużone, Z działów po ojcu otrzymał przed laty 2,500,000 złp. całego majątku i na tém jeszcze było 500,000 długu.Dzieliło się wtedy trzech braci, bo niewspominaliśmy jeszcze o trzecim z nich, Dymitrze, który może najmniéj pokazywał dumy, a przynajmniéj nią nie tak świecił. Starym był pan wojewoda, ożenił się pierwszy raz przed ostatniem bezkrólewiem z Teressą Wielhorską, kasztelanką wołyńską i żył z nią lat 19. Dopiero w lat cztery po niedoszłych swatach z Krasińskim umarła mu ta żona, dzieci niezostawiwszy. Ślub tedy Anny z nim odbyć się mógł najprędzéj w r. 1750, a z pewnością przed r. 1754. Nie zrobiła więc Anna świetnego losu, małżeństwo jéj, jak po wszystkiem widać, było czysto dyplomatyczne.

Książe wojewoda oczywiście zaraz powiózł żonę sprezentować ją na dworze Wersalskim. Bawił tam długo. W r. 1755, wracali oboje na Drezno: Księżna Delfinowa, królewna Polska, dała im wotum do Częstochowy bardzo wspaniałe, które ślubowała za zdrowie męża. Do Drezna pospieszył książę na galę koronacyjną i po Orła białego, którego jeszcze nie miał, ale bo też musiał się wprzódy postarać o dyspensę od dworu hiszpańskiego, gdy etykieta mieć chciała, że Złote runo z żadnym się nie nosiło orderem. Przysłał mu wtedy do Paryża dyspensę kardynał Porto-Carrero (Kuryer Polski Nr. 132). Poseł francuzki hr. de Brolie dawał z tego powodu kolację, żeby księcia uczcić, a Bryl zaprosił oboje księztwo do miasta Meissen, żeby oglądali fabrykę porcelany. Wotum Częstochowskie złożyli księstwo w powrocie na ołtarzu (25 Lutego 1756) r.), Baliński, *Pielgrzymka*, stron. 393.)

Należał wojewoda bracławski do stronnictwa dworskiego, które się opierało reformie prowadzonéj przez Czartoryskich. Nie robił tego jednakże dla żadnéj miłości zasad, ale przez dworactwo i prywatę, bo nie miał wielkiego rozumu. Obrażał się na Familię, że powstawała przeciw królowi, że mniéj zwracała uwagi na wielkie pretensje bez podstawy, że wszędzie szukała jakiejś zasługi, że naginała do pracy. Daremne wymagania; niby to swary, bale, wjazdy, dworowanie, podróże, nie były wielką i mozolną pracą, próżniactwa.

Ale jeżeli nie miał rozumu książe małżonek, pokazywała go za to wojewodzina. Nie przeszkadzała mężowi w jego upodobaniach niewinnych, w tém np. jak raz rezydując podług prawa przy boku pańskim w Warszawie, częstował posła Palatyna Renu, który synowcowi jego staroście buskiemu przywiózł order św. Huberta (w Maju 1759 r. *Kurjer Polski* Nr. 24), ale w sprawach ważniejszych umiała nad nim zawsze wziąść górę. Taki to zawsze bywa wpływ znakomitszéj osobistości na poziome istoty.

Wojewodzina od czasu jak się usamowolniła małżeństwem, pokazywała chęć występowania na świecie publicznym i odegrywania na nim roli. Jeżeli mąż nie miał, ona miała zasady i próbowała sił swoich. Nakłaniała się do wyobrażeń Familji, wbrew mężowi trzymała się względem dworu na stopie zimnéj obojętności. Stryj jéj pozostały przy życiu, dawny łowczy litewski, wyrósł już z wojewody podlaskiego na podkanclerzego Litwy i miał przeważny wpływ na sprawy publiczne w stronnictwie Czartoryskich. Nie podobały się więc wojewodzinie zabiegi dworu w sprawie utrzymania ordynacji Ostrogskiéj, nie tylko dla tego, że dotkniętą była tém osobiście, bo chodziło jéj o arendę, któréj bała się stracić, ale trafiała w Czartoryskich widoki; już widoczną tutaj była jéj myśl opierania się dworowi. (Wyjątki z jéj listów u Kraszewskiego, tamże II 195.)

Otóż ta oppozycja królowi pani wojewodziny dała się wybornie poznać przy innéj okoliczności, a zapewne okoliczności tych było więcéj. Książe wojewoda ujrzał się wtedy w dziwném położeniu, bo wystawiono go na rozmaite wpływy i nie wiedział biedak, jak się ma znaleść i co przedsiewziąć. Familja osądziła za rzecz potrzebną, żeby upokorzyć starego ministra Bryla i syna jego wysadzić z izby poselskiéj, jako cudzoziemca. Doszło do sceny bardzo żywéj, szable błysnęły w rękach i jakiś czas młody Bryl wahał się pomiędzy śmiercią a nadzieją. Jabłonowski nie był podczas téj burzliwéj sceny, ale gdy niebezpieczeństwo zajrzało w oczy dworowi, rozbiegli się wszyscy jego przyjaciele, po mieście, szukać obrońców dla Bryla. Służący przyniósł także do wojewody list od pani Mniszchowéj marszałkowéj nadwornéj, Brylówny, z prośbą, żeby pośpieszał co prędzéj do izby i pomógł ocalić jéj brata. Bez namysłu zerwał się wojewoda, i chciał biedz do izby poselskiéj, ale w tém veto swoje położyła małżonka i wojewoda został w domu, scena bez niego się odbyła (1762 r,)

W bezkrólewiu po Auguście III, wojewodzie zachciało się wystąpić po obywatelsku. Od lat dziesięciu jak był wojewodą, nie odwiedził ani razu swoich współziemian, bylo to może po książęcemu i po francuzku, ale nie po szlachecku ani po polsku. Pojechał tedy na sejmik przedkonwokacyjny do Winnicy. Sejmik się rozdwoił, jak wiele innych podówczas i wybrał podwójnych posłów i stronników Familji i jéj wrogów. Wojewoda czy z wielkiego wytężenia w pracy, czy też z innéj jakiéj przyczyny zachorował na ból głowy i umarł na sejmiku z rana i nagle (6 Marca 1764 r.) bardzo stary (Thornische Nachrichten.)

Przez śmierć tę księcia, wojewodzina ujrzała się wolną po 10cio a najwięcéj 12to letniem małżeństwie. Wolną i samotną, bo nie tylko nie miała dzieci, ale i mąż jéj z pierwszéj żony żadnego potomstwa nie zostawił. Wojewodzina miała wtedy lat 37, wiek nie był późny, ale już powtórnie za mąż nie poszła. Znalazła sobie zajęcie, bo rzuciła się z całą namiętnością na pole zabiegów politycznych, do czego ją szczególnie upoważniał stan ówczesny Rzeczypospolitéj; mogła też znakomity wpływ wywierać na wypadki, przez rodzinę swoją. Brat jéj starszy Aleksander, dawny starosta puński, był już teraz wojewodą połockim i hetmanem polnym litewskim; brat młodszy Michał nie miał wysokiego znaczenia, był tylko krajczym litewskim. Ojczym siedział wojewodą nowogrodzkim w senacie. Matka podobno już nie żyła, albo umarła w owych czasach. Dwie jéj córki księżniczki Jabłonowskie, a siostry przyrodnie wojewodziny, były

jedna za Józefem Sapiehą, druga za Maciejem Lanckorońskim kasztelanem kijowskim (*).

V. Stanowisko towarzyskie ks. Jabłonowskiéj.

Wojewoda bracławski, mąż księżny, umarł w czasie bezkrólewia, w którem wschodziła nowa gwiazda Stanisława Augusta Poniatowskiego. Cała arystokracja polska, mówiąc po zagranicznemu, była śmiertelnie oburzona przeciw dziecku fortuny, jak w zapędzie niedołężnego gniewu nazywał Stanisława Augusta, sławny starosta kaniowski. Trudnoż jednak było stawić opór temu dziecku fortuny, za którem potężne przemawiały wpływy. Oporu więc żadnego nie było, ale wrzały w całéj sile gniewy, dąsania się i przymówki.

— „Trzeba się poddać konieczności, — mówił książe August Czartoryski, wojewoda ruski, do pani Lubomirskiéj, Krasińskiéj z domu, wojewodziny Lubelskiéj, która zwracała jego uwagę na to, że elekcja Poniatowskiego wywoła burzę; większa część panów myśli tak samo jak i ja i wszyscyśmy pogniewani, a ja pierwszy, że musimy się poddać młodzikowi, który jest od nas niższy urodzeniem. Stolnikowi dobrze być moim siostrzeńcem, i pod tym względem myślę tak samo jak Potoccy, Radziwiłłowie, Sapiehowie i wielu innych, lecz cóż robić? Możemy uprzedzić klęskę poddaniem się. Jeżeli burza się zerwie będzie krótka i niestraszna. Kilku posłów wrześnie na konwakacji i dosyć, a za rok, dodał książe złośliwie do Lubomirskiéj, przyjdziesz pani do stolnika prosić o starostwo dla męża swojego" (*Saint Priest. Le partage de la Pologne.*)

Księżna Jabłonowska podzielała tę ogólną nienawiść panów polskich do stolnika litewskiego. Wypadała mu jakąś ciotką, tak przynajmniej utrzymuje w Pamiętnikach swoich Duklan Ochocki. Zdaje się jednak, że więcéj tutaj domysłu, niż prawdy. Szlachta polska była sobie niezawodnie jedną rodziną i od Łachmańskiego doszedł niezawodnie każdy do Radziwiłła, tak znowu mówi pani Rautenstrauchowa i słusznie. Nie ma zatem żadnéj wątpliwości, że i księżnie wojewodzinie bracławskiéj przyszło być w jakiemś pokrewieństwie z Poniatowskiemi, którzy wprawdzie bardzo niedawno wyszli z zaścianków, lecz już zajęli dosyć świetne stanowisko w Rzeczypospolitéj. Ale jedynie przez Czartoryskich mogła Jabłonówska spokrewnić się z Poniatowskiemi i to jako Sapieżanka. Rodzony jéj stryj Michał, w końcu podkanclerzy litewski, ożenił się z córką kanclerza Czartoryskiego. Stanisław August był siostrzeńcem kanclerza, więc bratem ciotecznym w dalszem pokoleniu Sapieżyny, która stryjenką wypadała księżnie wojewodzinie. Nie mogło więc to pokrewieństwo być na uwadze Ochockiemu, bo w niem role by się nieco zmieniły i sam król wypadłby jakimś wujem wojewodzinie. Inne, ale dalsze pokrewieństwo przez Sieniawskich wiązało książąt Czartoryskich, a więc Stanisława Augusta z Jabłonowskiemi, lecz i tam w żadnym razie księżna wojewodzina nie wypadała królowi ciotką.

Ale nie idzie o to; ciotka czy nie ciotka, była niezawodnie księżna wojewodzina w bliższym albo w dalszym stopniu krewną królewską. Co do wieku była niezawodnie rówienniczką, a więc z tego względu nie zasługiwała na stopień ciotki. Może ją król nazywał ciotką przez uszanowanie. Bądź co bądź nie lepszą była księżna ciotką, jak wojewoda ruski wujem. Patrzała na króla z dumą i zimną pogardą. Mniéj wybrydne panie i wdziękami ozdobne narzucały się królowi, brylowały na dworze warszawskim, a była tam pomiędzy niemi i jedna Sapieżyna, wojewodzicowa mścisławska matka Nestora, lecz księżna wojewodzina nie zbliżała się wcale do króla, bawiła się w oppozycję i trzeba przyznać, że wiele pań polskich wielkiego świata, podobnie jak księżna myślało; zawsze w każdéj chwili były gotowe wystąpić przeciw królowi czynnie, gdyby się do tego pole kiedy nadarzyło, a gdyby mężowie ich lub bracia, musieli jednocześnie politykować.

Między nieprzyjaciołkami Stanisława Augusta, kto wié, czy wojewodzina nie była najstraszniejsza, najmniéj do przebłagania łatwa. Zatém im

---

(*) Jan Kajetan, syn Jana Stanisława wojewody ruskiego i Bethunówny, starosta czehryński, ożenił się w r. 1730 z Teressą Wielhorską, kasztelanką wołyńską (Kurjer Polski Nr. 12). Posłem był od brata ciotecznego króla Stanisława do Kaplan-Gireja, hana krymskiego w r. 1734 i odwiedził wtedy Konstantynopol. Sprawiwszy pomyślnie poselstwo, przyjechał do Królewca, gdzie bawił się Stanisław w r. 1735: pogodził się następnie z Augustem III w r. 1737 i podzielił się majątkiem z braćmi za pośrednictwem wojewody sandomierskiego Tarły, marszałka w. koronnego Mniszcha i wielu innych panów, którzy działy te podpisali we Lwowie (Kurjer Polski Nr. 9). W r. 1738, jeździł do Francyi, ale z Drezna, żeby nawiedzić króla Stanisława i szwagra Franciszka Max. Ossolińskiego, dawniéj podskarbiego wielkiego koronnego a teraz księcia i para Francyi (Kurjer Polski, Nr. 85). Kiedy wrócił, matka ustąpiła mu z Polski królewszczyzny w listopadzie 1738 roku. Następnie był w Turynie i miał wracać do Lunewillu (w Grudniu 1738 roku). Księciem świętego państwa nominowany przez Karola VII z dniem 5 sierpnia 1744 roku (Mizler). Księztwo podejrzane, bo nadane przez cesarza, który panował w rozerwaniu. W roku 1746 posłem był halickim na sejm. Wchodził wtedy w ugodę z Kazimierzem Poniatowskim o starostwo czehryńskie, to jest sprzedawał po prostu swoje prawo; pozwolenie na to królewskie otrzymał 22 listopada 1746 r. (Sygillaty). Żona Wielhorska umarła mu 26 grudnia 1749 roku (Kurjer Polski, Nr. 695). Wojewodą został w roku 1754. Półkownikiem chorągwi pancernéj po śmierci Nitosławskiego, łowczego trębowelskiego roku 1758. Gubernatorem u niego w Czehryniu był Rudnicki, może krewny biskupa łuckiego unity. Umarł w d. 6 marca 1764 roku. Krasicki w dodatkach swoich do Niesieckiego pisze, że wojewoda bracławski wydał drukiem: „Judytę. Ester i Joannę wierszem polskim, oraz porównanie dwóch Greków". Był więc książe i poetą.

straszniejsza, tém więcéj niebezpieczna dla króla. Wszystko się razem do tego przyczyniało, żeby ją zrobić potężną i silną. Nie mówimy tutaj o nazwiskach, które nosiła; były przecie świetniejsze od Sapieżyńskiego, témbardziéj Jabłonowscy, pomimo niedawnéj swojéj książęcéj dumy, mniéj świecili. Nie można jednak zaprzeczyć, że i nazwiska nosiła świetne, w swoim czasie bardzo głośne i wzięte, co w Rzeczypospolitéj szlacheckiéj było zawsze nieposlednią zaletą i ozdobą. Aleź jéj duma daleko pozostawiła za sobą najznakomitsze nazwiska; z najznakomitszego europejskiego nie byłaby tak dumną, jak z krwi sapieżyńskiéj. To zresztą nie dziwi, wszakże szła ta księżna za pojęciami swego społeczeństwa, była wierną jego podaniom. Pod tym względem pierwsza lepsza pani polska Mniszchowa czy Lubomirska, Radziwiłłowa czy Potocka byłaby do niéj podobną. Ale co samą księżnę wznosiło wyżéj, to, jéj rozległy rozum, niepospolite zdolności, wrząca gorączka czynu, ambitna namiętność polityczna, rozogniona ostatniemi wypadkami, i sama jéj powierzchowność wspaniała. Wszystko to sprawiało, że narzucała się prawie wszystkim ludziom swojego stronnictwa, że na nich wywierała wpływ przeważny. Jedni ulegali wielkiéj pani, drudzy jéj majestatowi, który ciskał urok, inni nauce i mądrości lub zapałowi namiętnemu. Wszyscy ulegali wszystkiemu razem, co w niéj widzieli i powierzchowności i sile.

Wysoka, majestatyczna, postawy wspaniałéj, nie wiemy czy była piękną; prędzéj nie, bo niezapomnieliby i tego powiedziéć o niéj spółcześni. Oczytana i znała się na książkach! pisała je sama, sądziła autorów, z najpoważniejszemi gotowa była wejść w dysputy, naturalnie przez zarozumiałość i pewność siebie, że czego nieprzyznają jéj nauce, to będą winni jéj stopniowi. Zresztą, księżna wojewodzina ani przypuszczała, żeby jéj kto śmiał stawić czoło. Umiała dobrze po łacinie, tak przynajmniéj, że czytała księgi łacińskie i zdawało się jéj, że posiada wszystkie tajemnice literatury i filozofji. Poznał ją raz we Lwowie Karpiński i nawet bywał u niéj, z czego widać, że księżna i pod tym względem nową zasadę podnosiła wśród starego szlacheckiego społeczeństwa. Król w Warszawie ludzi uczonych zgromadzał do siebie na obiady czwartkowe. Księżna wojewodzina także zbierała u siebie młodzież, ludzi pióra; literaturę brała na serjo jako sztukę i zajęcie ducha, gdy dotąd była u nas literatura narzędziem, którym się dopinały abrodowe cele. Inaczéj cóżby u niéj robił na pokojach Karpiński? Pan polski staréj daty, a księżna była tu jakby panem, mężczyzną, potrzenował albo wojennych ludzi, gdy szedł na bój, albo statystów sejmikowych, którzyby mu jego sprawy u szlachty wyrabiali. Uczonych rzadko rozumiał pan polski, widział ich chyba w swoich kapelanach i spowiednikach, w pochlebcach i panegirystach. Otóż księżnéj pani do żadnych z tych spraw nie nadawał się Karpiński; przyjmowała więc go u siebie jako literata, jako poetę, który brał się do pióra dla saméj poezji i sztuki, do wylania uczucia przepełniającego serce. Karpiński mógł tedy księżnę widywać i badać ją. Karpiński też pisał dosyć nam o jéj zarozumiałości naukowéj. Widział nieraz jak księżna prowadziła dysputy z jego nauczycielem jezuitą, księdzem Starzeńskim we Lwowie i jak go nieraz sama wyzywała na te dysputy naukowo-filozoficzne. Karpiński księdza Starzeńskiego uważał za pierwszą mądrość na świecie, w zapale uniesienia powiedział o nim w swoich Pamiętnikach, że był pierwszym uczonym po Bogu. Otóż z wielkiém zadziwieniem, a zapewne i zgryzotą swoją widział, że księżna kilka razy „złapała” ks. Starzeńskiego na niewiadomości. Sądzimy że przez grzeczność, przez pochlebstwo dla jasnéj pani, dawał się złapać uczony jezuita, który musiał żyć na świecie; dla tego zawsze jednak wywołał zgorszenie, że może być pobitym, a sława mądrości księżnéj Jabłonowskiéj rosła.

Jakże też mądrą być nie miała w pojęciu swojem i obcem ta osoba, która kiedy się uciszyły późniéjsze namiętności w Rzeczypospolitéj, występowała jako prawodawczyni w ślady największych ludzi historycznych!.

Za to na dumę nieraz się łapała sama księżna wojewodzina. Bawiąc w Paryżu, podczas konfederacji barskiéj (r. 1770) poznała się tam z księciem de Turenne i księżną de Rohan, bratem i siostrą, którzy mieli bliskie prawo do spadku po królewiczu Jakóbie Sobieskim. Jakób niegdyś trzymał od cesarza Leopolda, swojego szwagra, księztwo Oławskie, na Szląsku, w pewnéj zastawnéj summie. Żądał brat z siostrą wypłaty 400,000 złp. kapitału za te swoje pretensje. Księżna podjęła się pośredniczyć w tym interessie. Była rzecz nieco trudna, bo cesarz dowodził, że dług ten, powinien zapłacić król pruski Fryderyk, jako teraźniejszy posiadacz Szląska. Oprócz kapitału należały się procenta niepłacone od czasu śmierci królewicza, to jest od r. 1738. Ale pani Jabłonowska podejmowała się pośrednictwa, więc razem do Pruss i do Austrji, przekonana, że słowo jéj jako Jabłonowskiéj i Sapieżanki, jako wojewodziny bracławskiéj, zaważy wiele na szali dyplomacji. Był jeszcze inny dla niéj powód do pośrednictwa. Podejmowała się go jako krewna całego domu Sobieskich, więc królewiczów polskich, synów Jana III i angielskich synów Jakóba III pretendenta. Co za roztropne związki! Angielscy jeszcze podówczas żyli, więc dowiedziawszy się o dobréj woli księżny, pisali do niéj i pochlebiali. Kontenci byli, że ktoś inny, chociażby mu i sparzyć się przyszło, wyrabiać będzie prawa ich do spadku. Przed jéj wyjazdem do Paryża, obadwaj królewicze angielscy napisali do księżny obszerną instrukcję i obja-

śnienie sprawy. Nie mogliśmy się jednak dowiedzieć, jak się udało to pośrednictwo (Dodatek do *Czasu*, wrzesień 1859 stron. 462).

Na Wiedeń rachowała stąd księżna, że należała do dam kawalerek orderu austrjackiego krzyża gwiazdowego. Order ten otrzymała jeszcze 4 września 1758 r.) Dodajemy, że Marja Teressa rozdawała order tylko arystokratkom pierwszéj krwi, głośnego nazwiska. Pań polskich wiele należało do orderu. Mężowie ich przybierali się chętnie w hrabiowskie i książęce tytuły, ubiegali się za Orłem białym i różnemi cudzoziemskiemi ozdobami, a więc i żony, wojewodziny, hetmanowe, biegły za tym popędem i stroiły się we wstęgi orderowe. Dama orderu św. Krzyża, czy jak mówiono wtedy, gwiaździsta, oprócz zadowolonéj ambicji własnéj, że ją cenią, nie nabywała żadnych praw i szczególnych przywilejów, ale mogła jeździć do Wiednia i kłaniać się Marji Teressie na jéj dworze. Niewielka to była wygrana żeby i cóś na nią rachować, tem bardziéj w Berlinie?

Za granicą tedy wielka uniżoność i etykieta, ale w ojczyznie duma do niebios. Wszystko małe i nędzne przed wielką panią. Kiedy przyszła do lat dojrzalszych, imponowała księżna wiekiem. Trudno z czemkolwiekbądź porównywać cześć jaką od młodych pań polskich w ogóle odbierała. Świat nowy, nowemi się rządził zasadami, ale w Polsce musiał zawierać rozejm ze starym. Otóż wśród młodego pokolenia, księżna wojewodzina była rzeczywiście reprezentantką starego czasu. Jak nie miał się przed nią uginać świat ten młody, kiedy sam król, bądź co bądź zawsze reprezentant i władzy i majestatu, miał nie powiemy nawet względy, ale uszanowanie przed tą ciotką. Kiedy się z nim pogodziła, często przyjeżdzała do Warszawy i wtedy odwiedzała go na dworze w Łazienkach, i bywała na balach. Co za różnica dworu jednego od drugiego, na którym księżna bywała? W Paryżu czy w Wiedniu musiała się starać o względy, o miłościwe spojrzenie, tutaj odwrotnie sam majestat się uniżał, król przed ciotką grał rolę grzecznego kawalera, a pani na jego pokojach, wśród jego dworu, ledwie głową kiwnęła na znak szczególniejszéj łaski; prawda, że król polski Stanisław August był całe życie swoje zbyt grzecznym i wylanym dla kobiet, ale tutaj nie kłaniał się przed kobietą, owszem hołd oddawał osobie politycznéj, która wiele mu pomódz i wiele mogła zaszkodzić.

Mamy dwa świadectwa spółczesne, jedno mężczyzny, drugie kobiety, Ochockiego i pani Nakwaskiéj; oboje księżnę znali osobiście, przynajmniéj widywali ją w towarzystwie. Świadectwo ich jednozgodne. Ochocki widział księżnę raz na balu królewskim w Łazienkach, Nakwaska dzieckiem będąc w domu swojego ojca.

„Gdy weszła na salę, pisze Ochocki, król zerwał się z krzesła, z pośrodka pięknych i młodych dam i na środek sali na spotkanie jéj wyszedł. Księżna była ubrana w staroświecką materję jedwabną, w pasy szerokie, do któréj ozdoby i ubranie głowy tak zupełnie dobrane i ułożone były, jak widzimy w możnych domach na starych portretach. Szła z postawą wspaniałą, ale krokiem dosyć pewnym i śmiałym. Król skłonił się jéj dość nisko i pocałował ją w rękę, ona zaś, tylko lekko mu głową skinęła, jakby to nie był król, ale pan Stanisław Poniatowski, tę cześć jéj oddawał. Poszła daléj między damy, które wszystkie powstały i dały pierwsze miejsce téj matronie. Dziś jeszcze mam w oczach, ciągnie daléj Ochocki, widok téj szanownéj niewiasty, która wówczas między ubranemi wytwornie i modnie damami była prawdziwą reprezentantką dawnych znakomitych z rodu i znaczenia pań naszych. W życiu swojem nie zdarzyło mi się więcéj, jak dwa razy widzieć, tak wspaniałą i imponującą osobę. Drugą była pani Szczęsna Potocka, z domu Mniszchówna, którą widziałem na pokojach cesarskich w Petersburgu, bo była stats damą.”

„Była to pani słuszna i chuda, miała coś wyniosłego w postaci, a wiele dowcipu w mowie, opowiada późniejsza nieco pani Nakwaska, rozum jéj słynął po kraju szeroko.”

(Dalszy ciąg nastąpi).

ADWOKAT SZNOBELES.

powieść Juljusza Gundling, streszczona z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Gdybym tylko mógł, odpowiedział mąż, patrząc na nią ognistemi oczyma. Ale zajęcia moje tak jedne z drugich wypływają, że żadnego odrzucić niepodobna. Zatrzymać się, jest to dla mnie tyle, co się cofnąć, a jakeśmy się raz postawili na piewszorzędném stanowisku, to już nam się nie wypada usunąć z niego.

Mówiłeś *my*, odparła mu żona z wyrzutem, powiedz raczéj *ja*. Cóż dla mnie bowiem za korzyść z twoich rozległych spekulacji? Czyż byłam kiedy tak chciwą i ambitną, żeby cię popychać ze zwyczajnéj drogi na niezwykłe koleje? Przeciwnie, wolałabym gdybyś został tém, czém byłeś, jakeś się starał o Sarę Kajfur, wtedy miałeś dobrą, średnią pozycję, byłeś znacznym adwokatem, ale miałeś jeszcze czas pomyśléć o żonie. Teraz już nie masz na to czasu zajęty spekulacjami, zostawiasz mię w samotno-

ści. W jednostajnéj nudzie płyną dni moje, nie pytasz mi się, czy mi się to podoba. Przy obiedzie siedzisz chmurny i zamyślony, a w twoich zmarszczonych brwiach, widzę tylko ducha spekulacji, ktory się pomiędzy nami unosi. Ach! odepchnij go Schneebaldzie, bądź tak, jak dawniéj, moim dobrym Absalonem, który się do mnie usmiechał z taką miłością. Niech widzę że cię obchodzę, ja ci za to taką wdzięcznością, taką miłością potrafię odpłacić.... Sara mówiła to głosem tkliwym i przenikającym, któryby chyba tylko twardym pancerzem pokrytego serca, poruszyć nie potrafił. Ale Schneeball posiadał taki pancerz. Co się nie stykało bezpośrednio z jego wyniesieniem, nie obchodziło go. Bez wzruszenia więc, wysłuchał mowy swéj żony, i odpowiedział jéj żartobliwym uśmiechem.

Musisz mnie już takim znosić jakim jestem, kochana Saro, niech piérwéj osięgnę wszystko do czego dążę, dopiero wtedy nadejdzie czas używania, wielkość moja złączona jest z wielkością Bolcen, niech więc w pierw staniemy tam gdzie zamierzamy, niech ja będę tam w zamku nie jako proszący, ale jako równy tym, którzy tam bywają. Wtedy o nic się już starać nie będziemy, bo będziemy mieli wszystko, i wtedy będę mógł być tkliwym małżonkiem mojéj pięknéj Sary.—Sara, która do tego czasu trzymała go za rękę, usunęła mu swoję z niecierpliwością:

— Kiedy tak, to idź do twoich interesów i nie troszcz się o smutek twojéj żony, jakeś to dotąd czynił. Ścigaj daléj twe próżne zamiary, które wszystkie twoje wypełniają myśli, ale nie spodziewaj się, ażebym je kiedykolwiek podzielała. Idź i zostaw mię samą jak to już od tylu lat czynisz.

Schneeball przeraził się chwilkę téj mocy postanowienia, z jaką wyraziła się jego żona. Ale znalazł to w końcu za błahe, ażeby dłuższą rozmową zaprzątać sobie czas, do tyluważnych interesów potrzebny; rzekł więc:

— Nie bądź dzieckiem Saro; wyganiasz mnie, a nikt tak chętnie jak ja z tobą nie przestaje.

— Kłamiesz Schneebaldzie, wtedy, kiedy ja właśnie radabym widziéć męża mego mówiącego mi całą prawdę. Kłamiesz, kiedy mi dowodzisz, że te godziny, co mówię te rzadkie minuty, jakie mi poświęcasz, mają jakąś wartość dla ciebie. Kłamiesz i chcesz mnie jak dziecię przyjemném kłamstwem uspokoić, ale ja zdurzyć się nie dam. Najdrobniejszy z twoich zamiarów, który cię ma naprzód posunąć, więcéj dla ciebie znaczy, niż twoja żona. Zaprzecz mi, jeżeli możesz.

— Nie pojmuję cię Saro.

— To zaprzeoz mi.

Wprawdzie nigdy tak, jak dziś nie czyniłam ci wyrzutów, spodziewałam się bowiem, że zrozumiesz moje smutne wejrzenia, moje prośby nieme.

Nie miałeś jednak nigdy na mnie względu, więc teraz ci powiem otwarcie i wyraźnie: twoja droga nie jest moją drogą i każdy krok czyni nas bardziéj obcemi dla siebie.

— Ale pozwól sobie powiedziéć żono....

— Oszczędzaj słów; wiem, że słowa adwokata nic nie kosztują, ale to zawsze czcze słowa tylko. Nie usiłuj mnie oszukać. Czy mam ci powiedziéć, za czém gonisz? twoje nazwisko już ci zawadza; chcesz go odmienić na wyższe, szlachectwo ma iść w parze z bogactwem, więc żeby swoje nazwisko uszlachetnić i wszystko zaćmić w około siebie, potrącasz samolubnie szczęście twojéj żony i ledwo zwracasz na nią uwagę.

Saro! wołał Schneeball, nie wiedząc dobrze co odpowiedziéć.

— Zaprzeczaj mi jeżeli możesz. Powiédz czy we wszystkich twoich usiłowaniach nie siebie tylko masz na celu. Myślisz jedynie jak być najpierwszym w mieście. Nie mów mi, że nadejdzie czas, w którym nareszcie spocznie twoja ambicja. Będzie ona rozwijać się coraz daléj, zawsze, tak jak dotąd nienasycona, a ja będę wieść życie samotne i czcze, jak je dotąd wiodłam, przykuta do człowieka, którego nie szanuję i dla którego niczém innèm nie byłam, tylko stopniem do wyniesienia się.

— Saro, Saro! wołał Schneeball dotknięty gorzkiemi słowy, które go niemiłosiernie raniły.

Zdawało się też, że Sara raz jeszcze łagodniejsze dla niego poczuła usposobienie. Spojrzała nań wzrokiem przenikającym i rzekła:

— Mówże, czy nie mam słuszności? Powiem ci raz jeszcze to, co już tyle razy mówiłam i odbierałam tylko odmówną odpowiedź: pozostań ze mną mężu! Cały dzień jesteś niewolnikiem twoich interesów, twoich zamiarów ambitnych, podarujże choć wieczór dnia dzisiejszego żonie, która cię widuje tak rzadko!...

Saro! odezwał się Schneeball, głosem roztkliwionym wyrazami żony, ale wnet odepchnął od siebie wrażenie, które mu się wydało słabością i mówił daléj:

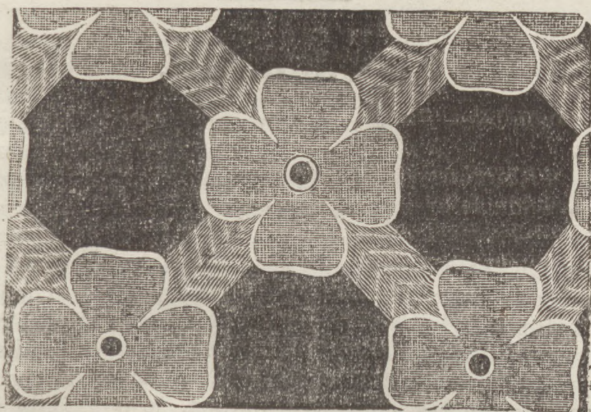
— Znajdę ja kiedy indziéj czas, na przepędzenie go z tobą, kochana Saro, jutro może, lecz dziś jest mi to niepodobieństwem. Dziś wieczór jest sesja komitetu do budowy kolei żelaznéj i ja muszę wyłuszczyć zgromadzeniu zamiary księcia, który mnie swém zaufaniem zaszczycić raczył.

— Widzisz Schneebaldzie, jaką prawdę mówiłam, gdym odmawiała twéj duszy władzy zrozumienia mojéj! zawołała Sara z szyderskim uśmiechem. Masz słuszność, że skąpisz czasu dla mnie, idź, przewodnicz komitetowi, obliczaj korzyści z twych spekulacji, przemawiaj, intryguj, aby się wykierować na szlachcica *von* Schneeball, ja już nie mam nic przeciwko temu.

— Miejże rozsądek Saro, uspokajał ją mąż. Ale ona oddaliła go poruszeniem ręki wołając: Idź, chcę sama pozostać! Gdy nie posłuchał, powtórzyła to tak silnie, że nie pozostało mu nic więcéj, jak się usunąć. *(D. c. n.)*

Dodatek do Zeszytu I, Kółka Domowego. 1867.

Deseń na kapę lub poduszkę do szpilek.



Należy na grubym papierze naszyć tasiemkę białą bawełnianą, w tak szerokie kraty, jakie je mieć chcemy; na każdym punkcie skrzyżowania tę tasiemkę zeszyć, nie tykając papieru. Gdy tak kraty już przygotowane, rysują się na cienkiem płótnie według deseniu, gwiazdki, których brzeg obdziergać należy i następnie wyciąć. Mając ich ilość stosowną, przytwierdzać do tasiemki i środek gwiazdki obrzuconą dziurką odznaczyć. Ta robota na kolorowéj podszewce bardzo ładnie wygląda.

Objaśnienie ryciny mód.

Fig. 1-a. Paletot peplum obszyty gipiurową koronką i kutasami, Podobnież zakończone dwie długie aksamitki z tyłu spadające, rękawy nieco rozszerzone, guziki z przodu. Suknia koloru hawanna, gładka, podjęta rozetami z pasmanteryi, spódnica tegoż samego koloru, tylko w czarne paski lub prążki, wycięta w zęby i naszyta szlakiem z czarnéj gipiury. Kapelusz czarny aksamitny z kryształowemi grelotkami, pod rondem rzęd drobnych aksamitnych kwiatów bez liści, szarfy koronkowe wiążące się z tyłu. Rękawiczki popielate.

Fig. 2-ga. Suknia spodnia z błękitnego atłasu w kwadratowe, obszyte pliską zęby, które lepiéj dawać tylko z tyłu i z boków, zostawując przód gładki. Zwierzchnia suknia biała jedwabna, z zębami podobnemi jak u dołu, rysującemi od szwa do szwa wielkie łuki, objęte atłasem takim samym, jaki użyto na dolną spódnicę. Szwy brytów równie błękitne oznaczają zęby. Stanik błękitny z białym jedwabnym gorsecikiem, ze szmizetką fałdowaną od ramienia do środka i rękawkami z brukselskiego tiulu. Na szyi czarna aksamitka z kosztownym medalionem, czyli raczéj fermoarem. We włosach perły i jedna duża róża lub kilka pączków z boku. Rękawiczki białe.

Fig. 3-a. Suknia z morderowego aksamitu z takimże paletotem zapiętym do samego dołu. Zdobi go wązkie obszycie z futra i takież pętlice. Jedne rękawy wąskie, a drugie roztwarte z białą, jedwabną podszewką. Kapelusz jedwabny formy *Lamballe* koloru lapisowego, z takiemiż szarfami. Rękawiczki duńskie.

Fig. 4-a. Strój panny młodéj. Suknia o dwóch spódnicach z *poult de soie*, rękawy wąskie, stanik gładki, spięty na srebrne guziki. Wyłogi rękawów, kołnierzyk i pasek z koronki. Szeroki i długi welon z jedwabnego tiulu. Wieniec, brosza, kolczyki, ubranie na ramionach i spojenie paska na przodzie, wyrobione z pomarańczowego kwiatu. Rękawiczki białe.

Fig. 5-a. Suknia jedwabna, jasno lila, garnirowana u dołu trzema rzędami głębokich zębów, oznaczonych plissami z ciemniejszego, lecz tegoż koloru atłasu. Takież plissy tylko węższe rysują szwy od góry do dołu. Takie same garnirowanie w stosownem zmniejszeniu powtarza się u gory i dołu rękawów. Pasek z téj materyi co suknia z wypuszczeniem atłasu. Kołnierzyk i mankiety z cienkiego płótna, wązką obszy-

te koronką. Dodajemy tu nawiasem, że taki kołnierzyk jest w najlepszym guście nawet do większego ubrania.

Fig. 6-a. Ubranie dziewczynki od 5 do 7 lat. Sukienka z paletotem peplum, czapeczka takiegoż zielonego koloru, aksamitna, wszystko obszyte łabędzim puszkiem. Bóciki z wysokiemi cholewami podobnież garnirowane.

O UBIORACH.

Jedna z najwykwintniejszych wypraw przygotowała się w tych czasach w magazynie pana Pękali; podobno téż i posag narzeczonéj na krocie rubli się liczy, co usprawiedliwia zbytkowną elegancję wszystkich szczegółów ubioru, które wspomniony magazyn dostarczył. Kapelusze i stroiki na głowę były sprowadzone z Paryża. Kapelusz seledynowego koloru z białemi perłami, które powabnie spadały na czoło, drugi biały atłasowy z białym puszkiem, nader artystyczne twory fantazyi modniarek francuzkich; dwa drugie były powszedniejsze, nie mniéj przecie strojne. Z ubrań na głowę zwróciło uwagę naszą fijołkowe aksamitne z bratkami i bursztynami, które w kształcie dużych bąbelków, aż na piersi spadały. Sukien było szesnaście, każda tak odmiennie ubrana, że wyglądały jakby szesnaście osobnych wzorów stroju. Jednę z nich przytoczymy: jasno popielata tego koloru, który zwą *lapis* była z przepysznéj materji *gros grains*; niczem na szwach nie odznaczona, tylko sam dół spódnicy otaczał szlak z białych, lśniących piórek, takich, jakiemi często obszywano kapelusze z podniesionem do góry rondkiem, piórka te płaskie zachodziły jedno na drugie, a otaczając stanik do gorsu, wycięty w kanty, zastąpowały bertę. Był przygotowany drugi stanik pod szyję, otoczony niezmiernie oryginalną baskiną, przypominała bowiem kształt chustki, zwieszonej z tyłu u pasa, a z przodu skrzyżowanéj i zachodzącéj końcami aż na ramiona. Garnirowanie téj baskiny składało się z piórek i frendzli kryształowéj.

Oprócz tych sukien, widziałyśmy w tym magazynie przygotowanych kilka innych. Biała muślinowa dla młodéj panienki, także w kliny krajana i płaska z przodu, innych bowiem już się nie widzi, miała z każdego bryta po stronie jego prostéj, wypuszczoną zakładkę na dwa palce szeroką, obok niéj zaś lila wstążeczkę, szew odznaczającą. U dołu była na ćwierć łokcia szeroka falbana w przyprasowane na jedną stronę fałdy, pomiędzy zaś szwami brytów były zęby oznaczone gipiurową wszywką, podwleczoną taką wstążką jak na brytach. Zęby te od dołu były dubeltowe, to jest podszyte takimże samym muślinem, a od wszywki w górę szło obszycie z wązkiéj koronki cluny. Stanik wycięty ozdobiony podobnież. Druga muślinowa suknia zrobiona była z pąsowemi aksamitkami.

Inna suknia czarna jedwabna, miała nad obrębem plissę z takiegoż materjału, z wypuszczeniem z czarnego atłasu. W około, w pewnych odstępach zdobiły ją płaskie kokardy w kształcie krzyża, zakończone wiatraczkami z aksamitu objętemi atłasem. W pośrodku kokardy tkwił czarny aksamitny guzik. Przy kieszeniach podobnaż kokarda wypuszczona w długie trzy końce, z których środkowy najdłuższy. Do sukni szarfa z końcami u dołu rozszerzonemi, podszytemi dla sztywności muślinem, i czarnym fularem, objęte także plissą z wypuszczonym atłasem. Cała ta suknia roztwarta jak szlafroczek, spinała się po włożeniu od góry do dołu na duże guziki. Druga suknia równie czarna, była nadzwyczaj strojna, z tego

powodu że miała rzucik jakby z gwiazdeczek usiany. To naśladowanie perełek dżetowych wyrabiają z kauczuku, a blask jest i efekt przesliczny, tak że już spódnicę niczém zdobić nie potrzeba. Stanik przybrany był taśmą naszywaną dżetem, splątaną na plecach i z przodu w węzły, z których końce obszyte dżetową frendzlą spadały.

Cóż powiedziéć o sukni z pluszu fijołkowego, z ogromnym, jak do dworskiego ubrania, ogonem, która potrzebuje pańskich apartamentów, aby się wydała. Jest to model dotąd jeszcze podobno nie naśladowany. Praktyczniejszym jest przyłączony do niéj paletot, który można włożyć do każdéj innéj sukni, na szwach naszyty złotą plecionką, przepołowioną fioletowym sznureczkiem.

Dla młodych panienek polecić możemy szwajcarskie czarne gorseciki z szarfą, po rubli sr. 8, do których przygotowane są już bluzki pod szyję, lub rozcięte z przodu i wyłożone na ramionach w kształcie berty. Wyłogi te obszyte kolorową wstążeczką, tworzą dwa zęby na gorsie. Przy strojnych bluzkach rękawy są krótkie bufiaste, stosownie obszyte. U jednéj z sukien, uważaliśmy rękawy obcisłe wprawdzie u ręki, jednak nieco w szwie górnym namarszczone, tak, że się podnosiły w małą bufkę, podobnie jak to na starych portretach niemieckiéj szkoły widziéć można.

Kaftaniczki pokojowe są w tym magazynie prześliczne ale drogie. Jeden z pluszu perłowego na czarném tle, w kostkę wypukłą, która wygląda, jakby czarnemi narysowana linjami, był zdobny kryształowemi grelotami i dużemi białemi guzami, wycięty zaś w około w cztery zęby, z których dwa dłuższe były z przodu, a krótsze po bokach.

Oglądaliśmy także kaftaniki białe i spódnice należące do wyż wspomnionéj wyprawy. Te ostatnie wszystkie krajane w kliny, a każda inaczej wygarnirowana, co już na przeznaczonym do niéj kaftaniku się powtarza. I tak np. jedna miała medaliony z koronki *cluny* złożone z kwadratów kątem do góry postawionych; druga szeroki obręb, którego brzeg górny był prosty, a brzeg dolny wycięty w okrągłe, bardzo płytkie zęby, po linji których był wszyty pięcioma rzędami stębnem, sznur gruby jak gęsie pióro. Tak pierwsza jak druga spódnica była obszyta koronką.

— Przejdźmy teraz do magazynu pani Włodkowskiéj, gdzie zawsze zobaczyć można artystycznie wykończone stroje, choć nie dla każdych majątków dostępne, ale jako przedmiot sztuki modniarskiéj ciekawe i pomińmy przepyszne suknie aksamitne po 200 rubli jedna, dla bogatych przeznaczone kobiet, a weźmy pod bliższe rozpatrzenie suknię wełnianą, któréj opis mniéj majętnym bardzo się przydać może. Z dość zwyczajnego, gładkiego materjału wełnianego, w kolorze fijołkowym, suknia ta miała spódnicę podwójną, spodnia nie dochodząca do ziemi, była na siedm łokci szeroka i obszyta dwoma rzędami czarnéj taśmy, druga szersza o dwa łokcie blisko, uszyta była w taki sposób, że cały przód był znacznie krótszy, wycięty w głębokie spiczaste zęby, obszyte czarną taśmą, i takąż frendzlą. Od dwóch boków zaczynała się część tylna sukni, długa tak, że stanowiła ogon, przy spojeniu z częścią przednią, trzema fałdami w górę idącemi skrócona do miary téjże. Na tych fałdach guziki, u brzegu zaś spódnicy z tyłu, już nie zęby, tylko dwa gładkie obszycia taśmą. Na ulicę ta część tylko może się podnosić za pomocą trzech haftek tak, że robiące się na każdym szwie trzy drobne fałdki, tworzą kształtną draperję i nie dozwalają sukni się powalać. Do tego był paletocik z dwoma zębami na każdym boku, mogący być, według woli, przepasany lub puszczony.

Inna suknia jedwabna w pasy białe z zielonemi, była wcale dowcipnie przygotowana na trzy toalety, był bowiem jeden takiż sam stanik pod szyję, drugi balowy z krótkiemi rękawami z zielonego jak kolor pasów, atłasu, i takież same atłasowe peplum czyli baskina z długiemi zębami po bokach obszyta blondyną. Właścicielka tych strojów może więc raz wystąpić w sukni w pasy ze stanikiem pod szyję, drugi raz wziąść tylko spódnicę w pasy, a stanik gorsowny atłasowy i takąż baskinę czyli peplum, trzeci raz nareszcie użyć zielonego stanika i baskiny, do białéj tarlatanowéj spódnicy, co ze stosowném ubraniem głowy, stanowić będzie strój balowy.

Wspomnimy tu jeszcze jasną suknię różowo lila, ubraną rulonikami czyli pliskami założonemi na wierzch pośrodku. Ruloniki te były z białego atłasu, i tworzyły na przodzie zęby białą obszyte frendzlą. Do téj sukni były także dwa staniki, jeden pod szyję, drugi wycięty z krótkiemi rękawami, bufiastemi i podgarnirowanemi kilkoma rzędami, podwójnie złożonego jedwabnego tiulu. U wszystkich staników gorsownych uważaliśmy, że materjał zwierzchni był więcéj wycięty niż potrzewka, u góry zaś dopełniony kilkoma fałdami z brukselskiego tiulu, co tworzy bertę i całemu ubiorowi więcéj strojności nadaje.

W ogólności wiele jedwabnych sukien ubierają atłasem; oglądaliśmy taką z *poult de soie* czarnego, ubraną na przodzie od góry do dołu czterema rzędami podwójnych kokard, ułożonych do góry w wachlarzyk, a zrobionych z ukosów czarnego atłasu. Od każdego wachlarzyka spadały na dół dwie długie bąbelki dżetowe. Te cztery linje wachlarzyków, rozchodzące się ku dołowi sukni coraz szerzéj, a więc także w wachlarz, połyskując blaskiem atłasu wcale pięknie stroiły suknię. Długość sukien strojnych z tyłu zawsze znaczna i do niéj zastosowuje się szerokość. Im dłuższa spódnica, tem szerszą u dołu być powinna, żeby się ogon na posadzce w kolistą linję rozwinął, ale téż, powtarzamy, unikać trzeba zbytniéj szerokości, bo się ogon niepotrzebnie fałduje, plącze i traci tę wspaniałość pozoru, dla któréj przebaczamy modzie, że każe zamiatać posadzkę.

Ogólnie mówiąc, dla sukien średniéj długości, ośm łokci obwodu wystarcza.

— W magazynie pani Falkenthal przy ulicy Miodowéj pod filarami, widzieliśmy przygotowaną wyprawę dla nowo-zamężnéj na prowincję. Wszystkie jéj części odznaczają się gustem i elegancją, obok najnowszych fasonów, które pani Falkenthal niedawno z Paryża przywiozła. Wymieniamy tu: Suknię *poult de soie* czarną z szwajcarskim stanikiem i otwartemi rękawami. Spódnica krótka w kliny ścinana, u dołu zęby kończaste oszywane aksamitką z dżetem, z pod których wychodzi falbana w płaskie fałdy układana. Pasek aksamitny i szarfy zakończone grelotkami dopełniają powabnéj całości. *Gabryela* z angielskiego materjału, w stanie mocno wcięta, z tyłu naszywana pasmanteryą od ramion do dołu spódnicy, któréj przód spinany na guziczki. Kapelusz wizytowy z białego pluszu ze śnieżnym, aksamitnym kwiatem z jednego boku, a z drugiego z aksamitném upięciem zakończoném kryształową grelotką. Czepeczek do oczepin w kształcie katalanki z pięknych białych kwiatów; na prawe ramię spadają długie gałązki, z lewéj zaś fantazyjnie podpięta koronkowa barba.



KÓŁKO DOMOWE

Lutÿ. 1867 r.